



JESTEM GUSTAFF

GRZEGORZ RACZEK VEL MAURVCY NIEPSUJ

JestemGustaaff.pl

PROLOG

Pozwólcie, że przedstawię Wam lisa Gustaffa. Nie takiego zwyczajnego, pisanego przez samotne, przysadziste „w”, ale wyjątkowego, posiadającego na końcu, czyli przy ogonie, dwie smukłe literki „f”. Niby nic nadzwyczajnego, i jedno, i drugie brzmi nawet podobnie, pamiętajcie jednak, że czasem wielką różnicę robią małe detale. Jak w życiu.

Gustaff ma około 80 centymetrów wzrostu (kiedy postawi uszy, ma kilka centymetrów więcej), waży jakieś 10 kilogramów, jest zrobiony z drutu, gąbki i włóczki i nosi buty w rozmiarze 34. A jak nie przytnie pazurów to nawet 35. Zazwyczaj nosi trampki, które uwielbia, choć bywa, że wciągnie na łapy czarne, skórzane glany (do kompletu zakłada czarną ramoneskę i wygląda czadersko, szczególnie przez okno z tylnego siedzenia samochodu). Poza tym ogląda komedie romantyczne, hurtowo czyta książki, a wszystko to zajada potrawami kuchni azjatyckiej. Resztę niuansów poznacie już wkrótce, czy to wczytując się w treść tej opowieści, czy zaglądając na profile lisa w mediach społecznościowych.

To na razie tyle.

ROZDZIAŁ I

Tajemnica pocztowej piwnicy

Gustaff pojawił się w domu Maurycego i Jadwigi Niepsujów w piątek 13 maja 2022 roku. Konkretnie to kufer zawierający Gustaffa i kilka innych, jak się później okazało, należących do niego drobiazgów. A wszystko to za sprawą remontu, który rozpoczęto kilka dni wcześniej w budynku lokalnej placówki pocztowej. Jej naczelnik Julian Gęsina długo nosił się z zamiarem odnowienia podlegającej sobie placówki. Niestety na przeszkodzie ciągle stał brak wystarczających funduszy. Nareszcie jednak udało się zebrać odpowiednią kwotę, w dużej mierze za sprawą dotacji z kasy miejskiej, i rozpoczęto prace. Przede wszystkim chodziło o doprowadzenie do stanu używalności piwnicy, bowiem paczki, listy, ale również szafy pocztowe i wypełniające je dokumenty nie mieściły się na parterze i piętrze starego budynku. I właśnie wtedy, kiedy pracownicy wynosili stare deski, stosy gazet, papierów, wiadra skruszonego tynku i szerniałych od starości cegieł, odkryto coś, czego nikt się wcześniej nie spodziewał.

Kiedy jeden z robotników próbował kilofem rozkruszyć leżącą w kącie bryłę betonu, przez przypadek trafił w zasłoniętą płócienną kotarą ceglana ścianę obok. Kilof wszedł w cegły jak w masło, wybijając kilka z nich i tworząc niewielki

otwór. Kiedy chwilę potem usunął delikatnie kilka kolejnych cegieł, okazało się, że za ścianą znajduje się jeszcze jedno pomieszczenie. Nie była to jednak jedyna niespodzianka. Otóż pośrodku niewielkiej sali, na kamiennej posadzce, stał stary kufer związany konopnym sznurem. Na wieku, tuż przy konopnej kokardzie, przyklepiono niewielki bilecik zawierający inicjał imienia i nazwisko odbiorcy. Pod starannie wykalfigrafowanym napisem tkwiła potwierdzająca ten fakt pieczęć pocztowa z zygakiem nieczytelnego podpisu i dwoma datami.

Odbiorca:

M. Niepsuj

ul. Kamyczka 10/13

Łowicz

nad. 13 maja 1938 r.

dost. 13 października 1939 r.

I w tym momencie nasza historia mogłaby się zakończyć, a świat nie dowiedziałby się o Gustaffie, ale na szczęście się nie skończyła, a świat się jednak o lisie dowiedział. Dobra, lekko przesadziłem. Może nie świat cały, ale na pewno kilka lub nawet kilkanaście osób. Dlaczego? Ano dlatego, że pracownik, który odkrył kufer, niejaki Bonifacy Pleśniak, nie palił się zbyt do ujawnienia swojego odkrycia. Zamiast ogłosić światu radosną nowinę, planował sprzedać kufer w lokalnym antykwariacie u niejakiego Jeremiego Ślizga, a zarobione w ten sposób środki przeznaczyć na napoje powstałe w wyniku fermentacji i destylacji. Na szczęście na budowie pojawili się z nieoczekiwaną inspekcją naczelnik Julian

Gęsina i burmistrz Jan Krzysztof Klops. To był pierwszy z tych cudownych zbiegów okoliczności, dzięki którym kreśliły się wielkie historie. W naszej też takich nie zabraknie. Czy jednak ta opowieść godna będzie przymiotnika „wielka”, to oceńcie już sami.

Ale powróćmy do momentu, gdy na miejsce remontu przybyli dwaj panowie urzędniczy.

– Matko Boska Ledóchowska! – Piwnicę wypełnił hałas walącej się ściany i chmura kurzu wzbudzona przez to zawalenie. – Skarb żem znalazł!

– Co tam, panie Bonifacy? – zawołał naczelnik, zasłaniając usta chustką. – Żyje pan?

– Ano żyję – dobiegło z kąta piwnicy.

– Co tam się stało?

– Nic wielkiego! Takie tam dupnięcie małe! Się pan nie fałtyguje, bo tu kurzawa okrutna, na strój elegancki szkodliwa!

– Może jednak sprawdzę, panie Bonifacy. Żeby potem nie było! – Julian Gęsina pamiętał, że „takie tam” w przypadku Bonifacego kończyło się zazwyczaj jakimiś brakami na budowie. A to zniknęła betoniarka, a to kilka worków cementu, a to szpadle, kaski czy nawet czajnik bezprzewodowy z zestawem ceramicznych kubków.

– Jeśli tak, to się do czegoś przebiłem chyba. I cosik tu stoi. Kufer jakiś albo inkszy pakunek. Zasznurowany jak baleron. Burmistrz spojrzał na towarzysza i przejechał dłonią po krzaczastym wąsie. Serce historyka zabiło mocniej. Trzeba Ci bowiem wiedzieć, szanowny Czytelniku, że zanim Jan Krzysztof Klops został rasowym politykiem i dochrapał się stołka burmistrza, był nauczycielem historii w tutejszym li-

ceum. Kompetentnym i nawet lubianym, czego nie można było powiedzieć o nim jako o polityku.

– Uuuuu, skarb jakiś znaczy się! – wyszeptał podniecony.

– Raczej stara przesyłka. Albo dokumenty – ocenił w ciemno naczelnik.

– Skarb! – uśmiechnął się szelmowsko Klops. – Wąs mi wi-
bruje, a on nigdy się w takich sprawach nie myli!

– Czy ktoś mówił Wąs? – dobiegło zza urzędniczych pleców.

– Oto i jestem! Czy wydarzyło się coś godnego mego redak-
torskiego pióra?

Naczelnik i burmistrz obrócili się z synergią godną pływa-
czek synchronicznych. Na ostatnim stopniu schodów stał
osobnik, którego ani się nie spodziewali, ani nie chcieli teraz
zobaczyć. Redaktor Tomasz Wąs, właściciel, redaktor naczel-
ny i jedyny dziennikarz lokalnego portalu informacyjnego.

– Nic ciekawego! – odpowiedział Klops.

Naczelnik przytaknął mu ochoczo.

I być może ta wersja wydarzeń przekonałaby pismaka do
opuszczenia piwnicy, bo nie przepadał za ciasnymi, ciem-
nymi pomieszczeniami, gdyby nie robotnik Bonifacy, który
postanowił wynieść kufer na zewnątrz. Wąs już miał obró-
cić się na pięcie i wyjść z podziemi, gdy za Julianem Gęsiną
zamajaczyła sylwetka pana Pleśniaka niosącego tajemniczą
skrzynię. Tomasz Wąs odruchowo sięgnął po aparat fotogra-
ficzny zawieszony na piersi i nacisnął spust migawki. Piwni-
cę wypełnił blask flesza.

– Proszę natychmiast przestać! – krzyknął naczelnik. – To
miejsce służbowe. To tajemnica państwowa!

– Właśnie! – Klops podszedł do dziennikarza i zasłonił mu

obiektyw ręką.

– Panie Bonifacy, proszę wskazać redaktorowi wyjście. – Gęsina stanął obok burmistrza, tworząc tym samym dwuosobowy mur, zasłaniający dziennikarzowi skutecznie widok na piwnicę.

– Czyli że co, szefie? – Robotnik zrobił głupią minę. – Przecież wyjście jest tam łoś! – Kiwnął głową w kierunku schodów.

– Boże przenajświętszy! Proszę wyprowadzić pana Wąsa na zewnątrz!

– A że takie buty! – Pleśniak postawił kufer na posadzce, złapał redaktora za rękę i poprowadził schodami w kierunku drzwi wyjściowych. Redaktor próbował się wyrwać, coś tam krzyczał o wolności prasy, o totalitaryzmie, ale na Bonifacym nie robiło to najmniejszego wrażenia. Po pierwsze, ułomkiem nie był, więc wicie się takiego dziennikarskiego chuchra nie przeszkadzało mu zbytnio w transporcie, po drugie, kompletnie nie rozumiał użytych wobec niego słów. Pleśniak lingwistycznie egzystował na poziomie ciut wyższym od człowieka pierwotnego, od porozumiewania się chrząknięciami i mlaśnięciami dzieliła go cienka linia. Jak to mawiają, koński paznokieć.

Tomasz Wąs wypuszczony za płotem budowy na wolność szybko zalogował się w telefonie na panel portalu i upichcił krótką notkę o znalezisku na terenie budynku poczty. Oczywiście przyprawił to komentarzem o zamachu na wolność słowa oraz hipotezami dotyczącymi pakunku. Na koniec postanowił dołączyć zrobione w piwnicy zdjęcie, jakie by ono nie było.

I wtedy zdarzył się drugi cud, dzięki któremu nasza opo-

wieść mogła potoczyć się dalej, a Gustaff trafił ostatecznie do rodziny Niepsujów. Fotografia zawierała nie tylko twarze trzech uczestników zajścia, ale również fragment kufra. Na dodatek ten zawierający naklejkę z adresem jego odbiorcy.

ROZDZIAŁ II

Listonosz zawsze puka trzy razy

– Więc powiada pan, że w piwnicach poczty znaleziono stary kufer adresowany akurat do mnie? – Maurycy pogłodził się po świeżo przyciętej brodzie.

Dziennikarz siedzący w fotelu naprzeciwko pokiwał głową.

– Nie do końca, panie Niepsuj. Ten kufer nadano rok przed wybuchem wojny, ale niekoniecznie do pana. Na etykiecie nadawczej jest pana nazwisko, ale tylko inicjał imienia. Być może chodzi o pana, choć nie mam pojęcia, jak ktoś przed niemal wiekiem mógł wiedzieć o pana istnieniu. – Wąs uruchomił Internet w telefonie i wpisał w przeglądarce adres swojego portalu.

Zdjęcie kufra i etykiety z adresem tkwiło na stronie głównej jako najważniejsze wydarzenie tygodnia. Dziennikarz powiększył je i podsunął ekran przed oczy Maurycego. Mężczyzna nachylił się nad telefonem i zmrużył oczy.

– Kochanie, zerknij, proszę! – odezwał się do żony siedzącej obok.

Wąs podał telefon kobiecie.

– Wiesz, że mam kłopot z rozczytaniem tak małej czcionki.

– No fakt! M. Niepsuj! Nawet adres się zgadza! – Jadwiga przejechała palcem po ekranie.

– Właśnie! – Wąs odsunął telefon, wyłączył przeglądarkę i schował komórkę do wewnętrznej kieszeni wojskowej bluzy. – Niestety, z tego co wiem, burmistrz i naczelnik poczty chcą położyć na nim swoje łapy, zrobić jakieś komisyjne otwarcie i przekazać zawartość do muzeum, jeśli oczywiście w środku znajdzie się coś wartościowego. To ma być wielka uroczystość transmitowana w mediach ogólnokrajowych! – Wąs uśmiechnął się kwaśno.

Od czasu kiedy dziennikarzowi nie udało się dostać etatu w jednym z najbardziej opiniotwórczych tygodników, czuł do prasy krajowej i pracujących w niej dziennikarzy niechęć, żeby nie powiedzieć odrazę. Porażkę zawodową zaczął przedstawiać w późniejszych relacjach jako swój świadomy wybór, dorobił do tego filozofię lokalnej misji medialnej i założył niewielki portal informacyjny. Początkowo nie szło mu za dobrze. Czytelników miał jak na lekarstwo, reklamodawców również. I kiedy już zaczął zastanawiać się nad zarzuceniem pomysłu zostania lokalnym gigantem medialnym, trafił mu się temat nieświeżych jajek w jednym z dyskontów. Sprawa może i niezbyt wysokich lotów, na tyle jednak niewygodna i bijąca w renomę sklepu, że nagle licznik odwiedzin oszalał, a miejscowe firmy zaczęły uwzględniać w swoich budżetach reklamowych jego internetowy interes. Potem pojawił się kolejny temat i kolejny. Portal zyskał grono stałych czytelników, a co za tym idzie – i reklamodawców. I wszystko toczyło się stabilnie aż do momentu znalezienia kufra w piwnicy remontowanego budynku poczty. Po pojawieniu się pierwszej wiadomości o znalezisku licznik odwiedzin eksplodował, a u Wąsa rozdzwoniły się telefony, również z wielkich redakcji.

Nie dziwne, że dziennikarz poczuł, że nadeszło jego dziesięć minut, a może i godzina sławy!

– Ale jak mogą sobie przywłaszczyć czyjąś własność? – Maurycy zmarszczył czoło i spojrzał na Jadwigę.

– Formalnie to na razie nie jest czyjakolwiek własność. Jak pan widział, data wysyłki wyklucza pana osobę z listy ewentualnych właścicieli. No chyba że znajdzie się ów M. Niepsuj z potwierdzeniem nadania albo kufer przejdzie na pana własność drogą dziedziczenia. To ostatnie wymaga jednak wykazania, iż jest pan bezpośrednim spadkobiercą przedwojennego M. Niepsuja.

– Czyli koło się zamyka.

– Niby tak. – Dziennikarz westchnął ciężko. – Ale to blokuje również burmistrza i naczelnika. Żeby otworzyć kufer, musieliby spełnić podobne warunki co pan.

– Przynajmniej tyle dobrego! – Jadwiga podniosła się z wersalki. – Napije się pan herbatki? – spytała Wąsa, I kiedy ten miał kiwnąć głową na znak zgody, dało się słyszeć ciche pukanie do drzwi.

– Otworzę. – Jadwiga powstrzymała ruszającego do wejścia Maurycego. – I tak jestem na nogach.

Razem z nią poszły psy, ciekawe jeszcze jednego gościa.

Jadwiga wróciła po chwili, trzymając w ręku białą kopertę zaadresowaną następująco:

Maurycy Niepsuj

ul. Kamyczka 10/13, Łowicz

– List... – powiedziała cicho, oddając kopertę mężowi.

– Faktycznie. Ale jakiś dziwny, ani znaczka, ani nadawcy. Kto go przyniósł? – Maurycy kilkukrotnie obrócił papier w ręku.

– Listonosz. Chyba... – Jadwiga przekrzywiła głowę, próbując sobie przypomnieć wygląd doręczyciela, niestety nijak przypomnieć go sobie nie mogła. Dziwne – pomyślała.

Maurycy przedarł krawędź koperty i zajrzał do środka. Wewnątrz znajdowała się stara, pożółkła kartka – kwit nadania kufra na nazwisko M. Niepsuj.

Wąs aż podskoczył z wrażenia. Poderwał się z fotela i pobiegł do drzwi. Kiedy jednak je otworzył, nikogo za nimi już nie było. Podobnie przed klatką schodową bloku zamieszkanego przez Niepsujów. Kiedy wrócił do Jadwigi i Maurycego, oddychał ciężko, z trudem łapiąc oddech.

– Niby to tylko pierwsze piętro, ale kondycja już nie ta – wyjaśnił. – Nikogo nie było! – dodał cicho, każdy wyraz przepłatając głębokim wdechem.

– Zastanowimy się nad tym za chwilę. – Jadwiga jako jedyna zachowała w tym towarzystwie spokój. – A na razie napijemy się herbatki. A właśnie, zapomniałam o ciasteczkach! – Kobieta machnęła ręką i wyszła do kuchni po słodycze.

– Pan pozwoli? – Wąs wyciągnął rękę do Maurycego po dokument. Na mocno pożółkłym papierze widniało potwierdzenie nadania opatrzone wszystkimi urzędowymi pieczętami. – To nam ułatwi sprawę!

– Ale kto podrzucił nam ten kwit?

– Zdaje się, że nie tylko pan zainteresowany jest tym, żeby kufer nie wpadł w obce ręce.

Do pokoju weszła Jadwiga, niosąc na blaszanej tacce zdobionej kwiecistym grawerunkiem talerzyk z ciasteczkami maślanymi. Postawiła tacę na stole i uśmiechnęła się szeroko.

– Zapraszam na poczęstunek!

ROZDZIAŁ III

Latający kufer?

Wejście do gabinetu burmistrza znajdowało się w bramie klasycystycznego budynku mieszczącego się po północnej stronie Starego Rynku. Lokalny władca urzędował na piętrze, dokąd prowadziły kręte schody przytulone do ściany po lewej stronie drzwi wejściowych. Potem był kawałek korytarza, wielkie drewniane drzwi i sekretariat panny Basi, około czterdziestoletniej niewiasty uczesanej niezmiennie w ściśle związany kok, która sporych rozmiarów piersią chroniła wejście prowadzące do kancelarii pryncypała. Tak było i dziś, kiedy to Maurycy Niepsuj najpierw zapukał nieśmiało w jedno z lśniących lakierem skrzydeł drzwi, a następnie, równie nieśmiało, wkroczył do środka. Pani Basia, wpisująca właśnie do komputera treść jakiejś urzędowej notatki, spojrzała na niego znad grubych rogowych okularów i powiedziała cicho:

– Pan usiadzie i poczeka chwilkę... – Wskazała wysokie tapicerowane krzesło stojące pod ścianą.

Maurycy usiadł, założył nogę na nogę i rozejrzał się po pomieszczeniu.

– No i skończyłam! – rzuciła kobieta radośnie w kierunku gościa i zamknęła klapę laptopa. – Pan w jakiej sprawie?

– Jestem Maurycy, Maurycy Niepsuj – powiedział Maurycy,

wstając z krzesła, i kiwnął głową w geście powitania – i przyszedłem odebrać swój kufer.

Sekretarka zmarszczyła brwi.

– Kufer? Jaki... Aaaaa, no tak! – Nacisnęła przycisk interkomu i oczekując na odzew z drugiej strony, uśmiechnęła się do gościa. – Pan to chyba podniecony nieco takim znaleźskim. Cud cudowny normalnie. – Rozmarzyła się nieco. – A tam, w tym kufrze oczywiście, złoto może jakieś, brylanty albo inne szlachetne kamienie. Albo biżuteria wykwintna lub dokumenty skrywające tajemnice tajemnicze...

– Prrrrrrrr wzzzzz bzzzzy... – odezwało się przez głośnik, przerywając słowotok kobiety – Co tam, Basiulu. Tylko szybko, bo zajęty jestem!

– Przyszedł pan Niepsuj – wyszeptała sekretarka, pochylając się nad czarnym sitkiem mikrofonu. – Ten od skrzyni zna-czy.

– Niepsuj, Niepsuj... – Jan Krzysztof Klops zastanawiał się przez chwilę.

W pierwszym momencie nie potrafił przyporządkować nazwiska do jakiegś konkretnej twarzy. Myślamy był jeszcze przy partii szachów, rozgrywanej online z pewnym ośmiolatkiem, który po raz czwarty w ciągu ostatniego kwadransa niszczył go na wirtualnej szachownicy. Burmistrz nie bardzo wiedział skąd ta zła passa, bo przecież wszyscy pracownicy ratusza, poproszeni do rozegrania małej partyjki, dostawali od niego baty dosłownie w kilku ruchach. Rekordzistą był kierownik działu finansowego, który przegrał – co znając zasady tej gry, wydaje się mało prawdopodobne – w ciągu zaledwie dwóch posunięć. Burmistrz dzisiejszą niedyspozycję intelektualną

zrzucił na niskie ciśnienie, bo to faktycznie doskwierało dziś wszystkim meteopatam. – Aaaaaa, pan Niepsuj! Ale przecież miał być dopiero jutro!

– Ale jest dziś, szefie!

– Zagadaj go jakoś, Basiulu! Kawy, herbatki mu zrób, jakimiś paluszkami nakarm! Ja zaraz jestem! Małą telekonferencję muszę skończyć.

Sekretarka spojrzała na Maurycego.

– Kawki, herbatki, chrustu?

– Nie, dziękuję! Chciałbym załatwić sprawę kufra jak najszybciej, jeśli można. Małżonka czeka w samochodzie.

Pani Basia westchnęła ciężko i rozejrzała się bezradnie po sekretariacie. Na szczęście dla niej drzwi gabinetu burmistrza otworzyły się nagle i stanął w nich Jan Krzysztof Klops we własnej osobie. Okazało się, że „telekonferencja” zakończyła się szybciej, niż sobie to zaplanował. Ośmiolatek dał mu szybkiego mata i nie żegnając się, opuścił wirtualny pokój gry. Na odchodne w kilku prostych żołnierskich słowach opisał poziom wiedzy szachowej przeciwnika. Oczywiście na miarę swojego ośmioletniego słownictwa i na tyle cicho, żeby mama nie usłyszała.

– Witam, panie Maurycy! Czemu zawdzięczam dzisiejszą wizytę? Przecież byliśmy umówieni dopiero na jutro!

Tak było faktycznie. Z ustaleń pomiędzy małżeństwem Niepsujów a ratuszem wynikało, że uroczyste przekazanie i otwarcie kufra miało nastąpić następnego dnia w samo południe. Tymczasem Maurycy pojawił się w urzędzie dzień wcześniej, na dodatek rano, ledwo godzinę po rozpoczęciu urzędowania.

– Bo widzi pan – gość uśmiechnął się lekko – uznaliśmy z małżonką, że wolimy sprawę załatwić po cichu, z dala od świateł kamer.

– Ale przecież... – Mina burmistrza nie wskazywała, że był zadowolony ze zmian w misternie przygotowanym przez siebie scenariuszu.

W mieście tej wielkości nie dzieje się wiele, a każda okazja, by pokazać się w pozytywnym świetle w perspektywie zbliżających się wyborów samorządowych, była bezcenna. Jan Krzysztof rozpisał sobie każdą minutę, każdy gest przemowy, każdy uścisk dłoni. Tymczasem tutaj...

– Tak nie można!

– Ależ tak można, panie burmistrzu. Jutrzejsze oficjalne przekazanie to pana fanaberia. My z żoną nie mamy ochoty brać w niej udziału. Chcemy odebrać swoją własność i tyle. Bo mamy do tego prawo. Nie ma takiego paragrafu, który by nam tego zabraniał. Pan jako urzędnik nie może tego zrobić, naczelnik poczty jako bezpośredni spadkobierca tradycji przedwojennej poczty też nie. Tak więc ja dziś odbiorę, co moje, a państwo jutro możecie się bawić bez nas nawet przez cały tydzień. A jeśli ktoś zechce nam w tym przeszkodzić, to się z tym kimś zobaczymy w sądzie. A to, szczególnie jeśli do wyborów został miesiąc z hakiem, nikomu chyba nie będzie na rękę. Zresztą o szczegółach może pan porozmawiać z przedstawicielem czwartej władzy. Władza z władzą jakoś się dogada... – spuentował Maurycy.

W tym samym momencie, jakby za sprawą czarodziejskiego zaklęcia, w drzwiach sekretariatu pojawił się Tomasz Wąs, właściciel, redaktor naczelny i dziennikarz w jednym.

– Tylko tego tutaj brakowało! – wymusnęło się Klopsowi.
 – I ja się cieszę, że pana widzę! – Wąs stanął przy Niepsuju i szarmancko uśmiechnął się do pani Basi. Ta spojrzała na dziennikarza maślanymi oczami. Nie od dziś było wiadomo, że się w nim podkochuje. – Coś mnie ominęło? – zwrócił się do Maurycego. – Przepraszam za spóźnienie, korek przy targowicy...

Klops ociągał się jeszcze kilka minut, starał się odwieść Niepsuja od decyzji zabrania kufra, wreszcie jednak skapitulował w obliczu uporu Maurycego, wyjął telefon z kieszonki kraciastej kamizelki i zadzwonił do Staszka węglarza, pełniącego w ratuszu funkcję hydraulika, elektryka, konserwatora wszelkiego dobra, które da radę zakonserwować i nadwornego deratyzatora. Staszek zjawił się po około kwadransie.

– Przynieś, chłopie, ten kufer, co go w dziale marketingu wstawiliśmy.

Węglarz chrząknął, obrócił się na pięcie i ciężkim krokiem powędrował piętro wyżej, gdzie na poddaszu, w niewielkim pokoiku znajdował się dział marketingu i reklamy.

Nie było go może dwie minuty. Panowie w tym czasie oddali się pasjonującej rozmowie o pogodzie i dewastującemu wpływowi niskiego ciśnienia na zdolności intelektualne komórek mózgowych, gdy w drzwiach sekretariatu ponownie stanął Staszek.

– Nie ma go, szefie! Nie ma! Otwarte okno było, a kufra ani widu, ani słychu!

– Co jest? – syknął Klops.

– Ukradli? – zapytała pani Basia.

– Skrzydeł dostał? – dodał Maurycy.

Tylko Wąs nic nie powiedział. Jak dla niego, sprawa rozwijała się idealnie. Najpierw tajemnicze odkrycie, potem opór władzy, a teraz kradzież. Pyszenie!

ROZDZIAŁ IV

Przeciąg, francuz i dwie jedyńki

– Pan się przesunie, panie Staszku, inni też chcą zobaczyć!
– Pani Basia szturchnęła wielkiego jak przygarbiony niedźwiedź konserwatora. Ten odszedł krok do tyłu, robiąc nieco miejsca dla sekretarki, która wsunęła głowę do niewielkiego pomieszczenia i rozejrzała się po nim niczym surykotka na czatach.

– Szanowni państwo, proszę zrobić miejsce! – Tym razem o wgląd do pokoju poprosił tonem nieznoszącym sprzeciwu burmistrz Jan Krzysztof Klops. Mężczyzna stanął w progu, spojrział w lewo, w prawo i znowu w lewo. Zupełnie jakby szykował się do przejścia przez ulicę.

Pokój miał jakieś cztery metry szerokości i trzy głębokości i mieścił się na poddaszu. Niewielkie okno, umieszczone w skośnym dachu, znajdowało się naprzeciwko drzwi wejściowych. Po lewej i prawej stronie stały meble. Z prawej biurko, fotel i szafka na dokumenty, z lewej dwie drewniane szafy. Na podłodze leżał kremowy dywanik w liściaste wzory. Wszędzie, i na biurku, i pod nim, na podłodze i obok otwartych na oścież szaf, leżały teczki i luźne kartki dokumentów. Przez otwarte okno dochodził dźwięk pracującej pod budynkiem ratusza śmieciarki i kosiarki tnącej trawnik pod pobl-

ską katedrą. Bałagan w pomieszczeniu i dźwięk dochodzący z dworu pasowały do siebie jak ulał. Współgrały niczym w dobrze skrojonym filmie katastroficznym.

– A państwo do kogo? – dobiegł ich kobiecy głos zza pleców stłoczonej w progu gromadki.

Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli za siebie. W korytarzu stała niewysoka blondynka, około trzydziestoletnia, z wielkim kluczem francuskim przyłożonym do czoła.

– A tobie co, Grażynko? – Pierwszy zareagował Klops. – Ktoś cię pobił, czy jak?

– To na pewno ten bandyta od kufra! – zawyrokowała Basia.

– Pobił bidulkę i uciekł z fantem! Chyba przez okno, bo na korytarzu nic nie było słychać! A słuch mam dobry!

– Bandyta? Jaki bandyta? Kiedy? Gdzie? – Grażynka odstawiła klucz od czoła, odsłaniając sporych rozmiarów guz lekko podeszły krwią.

– No przecież tutaj! Ten, co ukradł kufer! – Burmistrz dał się ponieść teorii swojej sekretarki. Podszedł do kobiety i objął ją ramieniem.

– O czym ty mówisz? Przez ten kufer się wywaliłam, przydzwoniłam czołem w drzwi, drzwi się otworzyły, zrobił się przeciąg i wszystkie dokumenty dostały skrzydeł! Zobacz, jaki bałagan!

– To gdzie jest kufer? – Klops zmarszczył brwi i na wszelki wypadek jeszcze raz zajrzał do pokoju.

– Kazałam go wynieść do składzika naprzeciwno! Tylko pałętał się pod nogami! No i zobacz co mi zrobił, tatku!

Bo trzeba Wam wiedzieć, dostojni Czytelnicy, że burmistrz Jan Krzysztof Klops był najprawdziwszym ojcem panny Gra-

żynki (po babci) Eleonory (po drugiej babci) Klops (po tacie). Mężczyzna nachylił się nad zranionym czołem i najdelikatniej, jak tylko potrafił, pocałował córkę w czubek guza. Grażynka przytuliła się do niego, zapominając przez chwilę o bólu i trzymanym w ręku narzędziu. Chcąc objąć ojca ramieniem, podniosła dłoń uzbrojoną we francuza i trafiła papę prosto w dwie górne jedyńki. Krzyku mężczyzny nie zagłuszyła nawet trąbka granego równo w południe hejnału, którego dźwięki wpadły przez otwarte okno do siedziby działu marketingu i reklamy.

ROZDZIAŁ V

Coś rudego na dnie

Jadwiga odłożyła telefon na półeczkę obok drążka zmiany biegów. Spojrzała na wejście do ratusza. Jakaś kobieta weszła do środka, jakiś mężczyzna wyszedł. A Maurycego ani widu, ani słychu. A minęła już prawie godzina od momentu, kiedy zapukał do drzwi sekretariatu Urzędu Miejskiego w Łowiczu. Rozejrzała się po parkingu. Z lewej strony – tej, po której stała katedra, podjechał biały autobus z wielkim napisem EuroTour na burcie, po prawej – tej, po której stał budynek muzeum, śmieciarka kończyła ładować spakowane w wielkie czarne worki pozostałości po weekendowym festynie. W radiu Bryska zaczęła śpiewać „Obcą”. Jadwiga lubiła tę piosenkę. Praktycznie zawsze, kiedy jechała samochodem do pracy, w radiu puszczała ten przebój. I praktycznie zawsze wtedy, kiedy wyjeżdżała z miasta, na wysokości stacji paliw i salonu samochodowego. Przypadek? Do tej pory nie myślała tak o podobnych zbiegach okoliczności, ale teraz, podczas długiego wyczekiwania na męża, różne teorie spiskowe przychodziły jej do głowy. A to czemu Maurycy zmywał naczynia zazwyczaj dopiero po północy, a to czemu jego psy, Fiedka i Borys, wyły na dźwięk syreny karetki tylko w jej obecności (Natasza nie marnowała energii na takie popisy), a to czemu

smażona kiełbasa śląska z cebulką najlepiej smakuje akurat wtedy, kiedy ona jest na diecie, a to to, a to tamto... Wiecie, takie tam drobiażdżki, na które w codziennym rozgardiaszu zwyczajnie nie zwracamy uwagi, ale które w pewnych okolicznościach przyrody nabierają nowego znaczenia.

Z zamyślenia wyrwał Jadwigę syk otwieranych drzwi stojącego obok pojazdu. Najpierw pojedynczo, potem większymi grupkami z jego wnętrza wypłynęła ławica rozentuzjowanej młodzieży. Na koniec wyszła ze środka tęga niewiasta w kwiecistej sukience i wysoki, szczupły mężczyzna w stroju sygnowanym logiem firmy EuroTour. Kiedy wszyscy opuścili busa, z wieży ratusza spłynęły na rynek dźwięki hejnału. Turysci jak jeden mąż spojrzeli w kierunku smukłej wieżyczki z zamontowanym od frontu wielkim cyferblatem. Jadwiga zerknęła na migający miarowo wyświetlacz na kokpicie swojego auta. Zgadza się, właśnie minęło południe. Postanowiła nie siedzieć beczynnie i poszukać Maurycego. I kiedy już miała wyjść z chłodnego wnętrza samochodu na rozgrzaną kostkę parkingu, usłyszała krzyk, jakby ktoś bosą stopą wszedł na szyszkę. Tego dla Jadwigi było za dużo. Złapała telefon, zamknęła auto i skierowała się do siedziby burmistrza z misją wydobywania stamtąd swojego męża.

Wchodząc do budynku, była tylko zaniepokojona, ale kiedy na piętrze, przed drzwiami do sekretariatu zobaczyła krople krwi, jej serce przepełniła lekka panika. Jadwiga była pielęgniarką operacyjną, takie widoki nie robiły na niej zazwyczaj wielkiego wrażenia. Oczywiście jeśli chodziło o osoby obce. W tym jednak przypadku to mogło dotyczyć jej męża! To on mógł być źródłem krwawienia! W niewielkim niewieścim

ciele obudziły się instynkty żony, matki, córki, siostry, Polki, sąsiadki, po czym stanęły obok siebie i chwyciły się za ręce. Omijając krwawe mazię, Jadwiga wkroczyła do sekretariatu. Widok zastany w środku nieco ją zszokował. Patrząc od prawej, stali lub siedzieli – redaktor Tomasz Wąs wpatrujący się bezmyślnie w stojący na drugim końcu sali kufer, pani Basia z pokraśnialymi jagodami, wykrzykująca coś do redaktorskiego ucha, Jan Krzysztof Klops siedzący w fotelu, przykładający do ust zakrwawioną chusteczkę w ludowe wzory, szlochająca Grażynka, rozglądający się nerwowo na wszystkie strony i najwyraźniej nieogarniający sytuacji pan Staszek i na koniec stojący obok kufra Maurycy.

– Dzięki Bogu już jesteś! – uśmiechnął się szeroko na widok żony. – Miałem do ciebie dzwonić!

– A co tutaj... – Kobieta wskazała dłonią resztę zgromadzonych w pomieszczeniu.

– Wariactwo, duszko, wariactwo! Długo by opowiadać...

W tym momencie do rozmowy dołączył burmistrz.

– Sapierajcie ten pseklenty kufel i idźcie jus! Przez niego same niescenscia! – wysyczał przez szczelinę w zgryzie.

– Ale jak? – Jadwiga spojrzała na wielką skrzynię.

– Damy radę, kochanie. Kufer wyjątkowo lekki jest. I nawet rączki ma! – Wskazał skórzane uchwyty znajdujące się na obu bokach wielkiej skrzyni.

I faktycznie, pakunek nie był ciężki. Może trochę niewygodny przy znoszeniu i późniejszym wnoszeniu po schodach, a także przy upakowywaniu go na tylnym siedzeniu auta, ale na pewno nie aż tak ciężki, jak się w pierwszym momencie wydawało. Po krótkiej gimnastyce przy załadunku i wyładun-

ku oraz kilkuminutowym przejeździe przez miasto, małżeństwo Niepsujów zameldowało się w domu. Oczywiście wraz z kufrem.

– Zrób mi kawkę, a ja zobaczę, czy uda się jakoś otworzyć to cudo! – Maurycy nachylił się nad półokrągłym wiekiem i przesunął okulary z nosa na czoło.

Z kuchni dobiegł syk spienianego mleka w ekspresie.

– Skomplikowana franca! – Mężczyzna westchnął pod nosem.

– Co mówiłeś? – spytała Jadwiga, wchodząc do pokoju z filiżanką cappuccino dla siebie i kubkiem klasycznej parzuchy dla męża.

– Że mechanizm skomplikowany! Nie wiem, czy uda się otworzyć bez młotka i łomu!

– Daj, zerknę. – Jadwiga odsunęła Maurycego i spojrzała z zaciekawieniem na duży metalowy zamek. – Widzisz, kochanie, tego na siłę nie trzeba otwierać. Wystarczy wsunąć coś cienkiego o tutaj... – Wygięty spinacz biurowy, który pojawił się nie wiadomo skąd w jej ręku, powędrował do podłużnego otworu na klucz. Potem drugi lekko niżej, a kolejny spinacz wsunął się do dziurki. – Gmeramy, gmeramy, gmeramy i... ciach! Otwarte! – Coś zazgrzytało wewnątrz mechanizmu, coś pstryknęło po bokach, a wieko podskoczyło z cichym piśkiem i uniosło o jakieś dziesięć centymetrów.

Maurycy spojrzał ze zdziwieniem na małżonkę.

– No co? – wypaliła, uprzedzając pytanie o swoje umiejętności. – Czasem zacinają nam się zamki w szpitalnych szafkach. Trzeba sobie radzić! Otwieraj!

Mężczyzna wsunął dłonie w szczelinę pod wiekiem i lekko je

uniósł. Ze środka wyleciała chmurka kurzu. Jadwiga, nie czekając, aż mąż całkowicie odchyli pokrywę skrzyni, zerknęła zaciekawiona do środka. Pośród brązów i szarości znajdujących się w niej niezidentyfikowanych przedmiotów zauważyła małą pomarańczową plamę.

– Popatrz! – Wskazała palcem niekonsekwencję kolorystyczną na dnie.

I wtedy ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych.

ROZDZIAŁ VI

Dzień dobry, jestem Gustaff!

Jadwiga i Maurycy spojrzeli na siebie. Nie spodziewali się gości. Listonosz zawsze dzwonił najpierw domofonem, a dzieci wchodziły do środka bez pukania. Zresztą dwoje z nich mieszkało daleko od domu rodzinnego i zazwyczaj zapowiadało wizytę, trzecie mieszkało na drugim krańcu miasta, ale było jeszcze w pracy. Jeśli nie oni, to kto? Bo raczej nikt inny nie zaglądał do Niepsujów. Przynajmniej do tej pory.

– Proszę otworzyć, panie Maurycy! – zza drzwi dobiegł głos redaktora Wąsa.

– Ciii... – Jadwiga przystawiła palec do ust, następnie odsunęła krzeselko od stołu, nakryła kufer kocem i wsunęła tak zamaskowany pakunek pod blat. Najgłębiej, jak potrafiła. Wstała z kolan, dosunęła krzesło i oceniła efekt swojej pracy.

– Widać? – spytała męża.

Maurycy, zdziwiony nieco zachowaniem żony, pomachał dłonią i wykrzywił twarz.

– Jak się przymknie jedno oko, a drugie zamknie...

– Nie ma czasu na zakopywanie tego w ogródku, a zanim sami nie zobaczymy, co jest w środku, wołałabym, żeby nikt poza nami tego nie oglądał. – Kiwnęła głową w kierunku prowizorycznego schowka.

– Niby racja! – przytaknął Maurycy i poszedł otworzyć drzwi. W połowie drogi zatrzymał się jednak. – Ale my nie mamy ogródka! – wyszeptał.

– Tak się tylko mówi! – usłyszał z pokoju głos żony.

– No, panie Maurycy! Jak tak można, tak uciekać!? – Wąs pchnął uchylone drzwi, przemknął przez przedpokój niczym bolid formuły pierwszej i zatrzymał dopiero w progu salonu. – Rączki całuję szanownej pani! – Złapał dłonie Jadwigi i przystemplował na każdej siarczystego całusa. – A gdzie wraży pakunek? Gdzie nasz ssskarb, że zacytuję klasyka? – zasyczał niczym filmowy Gollum.

– Nie ma go tu! Go tu nie ma! Wywieziony, bo... – Brak wcześniejszych ustaleń co do statusu przesyłki spowodował, że Maurycy zaciął się i stał przed Wąsem z miną bożonarodzeniowego karpia. – Bo... – Spojrzał błagalnie na żonę.

– Zawieźliśmy go do znajomego! Zaraz po drodze! – Jadwiga uśmiechnęła się szeroko. – Żeby... Żeby otworzył zamek bez konieczności rozłupania go młotkiem lub jakimś innym łomem! Prawda, kochanie? To przecież zabytek i spuścizna. I patriotyczny obowiązek wręcz, żeby nie naruszyć i nie skalać!

– No tak, no tak! – Maurycy odetchnął głęboko. – Bo widzi pan, ja już go chciałem... – W powietrzu świsnęła zaciśnięta pięść Niepsuja i uderzyła w drugą, otwartą dłoń. Gest powtórzony został kilkukrotnie, tylko znacznie szybciej, jakby siekano nać pietruszki. – Ciach, ciach, ciach, ciach...

– Ależ panie Maurycy! Jak pan mógł choćby tylko o czymś takim pomyśleć. Toć to barbarzyństwo by było... Byłoby, jakby tak młotkiem w zabytek! – Wąs przetarł spocone czoło rękawem. – No to gdzie mieszka ten specjalista? Jedźmy tam!

– Nasz znajomy... hmmm... wyjechał! Tak, wyjechał! Ale obiecał, że zajmie się sprawą po powrocie! Tak właśnie było! Wąs odsunął krzesło i usiadł na nim z głośnym sapnięciem.

– Szkoda, szkoda, szkoda... – Zaczesał przepocone włosy palcami i spojrzał na Jadwigę. – Ale kawki bym się napił!

– Że co? – spytała kobieta.

– No kawki! Jeśli można oczywiście!

– Nie można, drogi panie! – Kobieta zmarszczyła czoło i spłótła ręce na piersiach. – Jestem zmęczona! Rano zesłam z dyżuru – skłamała – i chciałabym położyć się, odpocząć...

– Właśnie, odpocząć! – Maurycy stanął przy drzwiach salonu i wskazał dłonią drogę do wyjścia. – Wrażen mieliśmy aż nadto jak na jeden dzień. Nie utylizujemy ich tak szybko jak pan, młody człowieku. Musimy je przegryźć, przetrawić, a to u takich dinozaurów jak my trochę trwa. Więc jeśli pan pozwoli... – Uśmiechnął się do gościa najszczerzej, jak potrafił.

– Dobrze, dobrze, rozumiem! – Wąs spojrzał na Jadwigę, ale jego oczy nie okazywały zrozumienia, tryskały oburzeniem i złością. Z warg ściśniętych niczym szczęki imadła odpłynęła praktycznie cała krew, nadając im blady, prawie trupi kolor. Zresztą cała twarz redaktora zbladła nagle i jakby się zapadła, nabierając zombiego wyglądu. Przynajmniej tak potem opisywał całe zajście Maurycy, choć nie wykluczał, że to mogła być kwestia oświecenia, a może i jego słabego wzroku. – To ja będę w takim razie już szedł. Zasiedziałem się nieco! – Wąs spojrzał na zegarek, wstał i wsunął krzesło.

Dla małżeństwa Niepsujów chwila ta trwała wieki. Mebel zajmował przypisane mu miejsce niczym na ujęciu kręconym w zwolnionym tempie. Praktycznie w jednym momencie Ja-

dwiga i Maurycy przełknęli ślinę, a odgłos towarzyszący tej czynności zabrzmiał dla nich jak grzmot wodospadu. Wąs zauważył dziwne zachowanie gospodarzy i rozejrzał się podejrzliwie wokoło. Stał jednak za blisko blatu, by móc zobaczyć skrytą pod nim tajemnicę. Ucałował ponownie z głośnym mlaśnięciem niewieście rączki, ucisnął dłoń gospodarza i wyszedł bez słowa.

– Poszedł? – spytała szeptem Jadwiga po powrocie męża do pokoju.

– Wyrząłem dyskretnie przez okno. Poszedł.

Kobieta usiadła na wersalce. Uśmiechnęła się, choć oczy zdradzały, że stres wywołany całą sytuacją jeszcze z niej nie wyparował.

– W tym człowieku jest coś... Nie wiem do końca co, ale to coś złego jest – wyszeptwała.

Maurycy odsunął krzeselko i odwrócił się do żony.

– To co? Sprawdzamy?

– Sprawdzamy! A co! Raz się żyje! – rzuciła już nieco radośniej Jadwiga.

Kufer wyjechał na środek pokoju. Maurycy przez chwilę gmerał przy zamku, wreszcie podwadził palcami krawędź wieka i uniósł je na wysokość jakichś trzydziestu centymetrów. Odwrócił się zadowolony do żony i już miał rzucić jakąś kąśliwą uwagę dotyczącą niedawnego gościa, gdy ze środka doszedł stłumiony, piskliwy głosik.

– Poszedł sobie?

Maurycy odskoczył od skrzyni. Popatrzył na żonę. Oboje w jednym momencie otworzyli usta ze zdziwienia. Zdziwienie udzieliło się również zwierzętom. Psy spuściły głowy i za-

częły intensywniej wachać. Koty przywarły do półek, na których akurat zalegały leniwie. I kiedy ogólny niepokój lekko zelżał, Jadwiga zamknęła usta, zwierzęta przestały się prężyć, a Maurycy ochłonął i chciał podjąć przerwane czynności, wysunęły się z wnętrza dwie czarne łapy zakończone małymi pazurkami. Tuż za nimi spod wieka wychylił się czubek zwierzęcego pyska.

– Ten pan źle pachniał... – Niewielki nos wysunął się spod wieka, a za nim reszta podłużnego pyska. Następnie oczy i wielkie czarne uszy. Kiedy ze środka wydostała się cała głowa, zwierzę wbiło wzrok w Jadwigę i Maurycego i powiedziało cicho:

– Dzień dobry! Jestem Gusutaff! Lis Gustaff!

ROZDZIAŁ VII

Armagedon i antykwariusz

To, co wydarzyło się mniej więcej po trzech sekundach od wybrzmienia drugiego „f” w imieniu lisa, śmiało można nazwać armagedonem na wiejskim weselu, kiedy organizatorzy zdają sobie sprawę, że ktoś zgubił kluczyk do składzika z napojami. Przez te trzy sekundy do mózgu Jadwigi i Maurycego dotarły obrazy gadającego zwierzęcia, mózg je zidentyfikował, przypisał im numer katalogowy i dopasował adekwatną do tej identyfikacji reakcję. Jadwiga, w której widok zwykłego pająka wywoływał panikę i odruch struchlenia, podciągnęła kolona pod brodę, skuliła się i zaczęła krzyczeć. Na początku cicho, z czasem coraz głośniej i głośniej. Rozpędzała się jak syrena strażacka wzywająca ochotniczą brać do akcji. Maurycy natomiast pobiegł do kuchni. Nie dezerterował bynajmniej z pola bitwy. Po prostu wyruszył po oręż do walki z potworem, czyli tłuczek, tasak albo choćby packę na muchy. Po kilkunastu kolejnych sekundach wrócił do salonu uzbrojony w drewnianą łyżkę. Na nic innego się nie odważył. Przez roztrzęsienie rąk nie mógł złapać niczego, co w swej budowie zawierało choćby jedną ostrzejszą krawędź. Groziło to okaleczeniem lub nawet stałym kalectwem. Dwie świeże rany na kciuku i palcu wskazującym prawej ręki jasno tego dowodzi-

ły.

Tymczasem w pokoju domowy inwentarz wpadł w amok. Koty biegały po półkach, prychając i strącając co rusz jakąś doniczkę, książkę lub inny bibelot, którym Jadwiga lubiła upiększać pokój, psy natomiast uniosły pyski i wraz z panią zaczęły wyc.

Nie pisałem o nich zbyt wiele do tej pory, albowiem w przedstawionych dotychczas wydarzeniach albo nie brały osobistego udziału, albo spełniały rolę dekoracyjną, obiecuję jednak poświęcić im później trochę więcej czasu.

Teraz jednakowoż skupmy się na wydarzeniach bieżących.

Tak więc Jadwiga siedziała na wersalce i krzyczała, Maurycy stał w progu pokoju i machał bez sensu drewnianą łyżką, psy wyły, a koty biegały po półkach, karniszu, szafie i każdej powierzchni poziomej, na której można było umieścić choćby jedną łapę. Pośrodku tego rozgardiaszu, na starym kufrze, siedział lis i...

... i wtedy do drzwi ktoś zadudnił. Dobrze słyszeliście. Nie zapukał, nie zabębnił palcami, nie pstryknął knykciem, ot po prostu łupnął pięścią, że aż zadrżały antywłamaniowe drzwi i osadzona w nich framuga. Nagle czas się zatrzymał i wszystko zamarło. Ludzie i zwierzęta zaprzestały wycia, biegania i spojrzały w stronę przedpokoju.

– Ludzie! Ratunku! Kradną! Ublizają! Luuuudzie! – dobiegł do zgromadzonych w salonie zachrypnięty głos sąsiadki. Maurycy, stojący najbliżej wejścia, gestem dłoni pokazał, by wszyscy pozostali na miejscach i zachowali ciszę. Poszedł sprawdzić, co zacz. Zamek chrupnął znajomo. Mężczyzna nacisnął klamkę, uchylił lekko drzwi, gdy... Nagle wpadła

na niego i sprowadziła do parteru Maria Leokadia Potocka-Dziurawiec-Benc, sąsiadka w całej swej stukilogramowej okazałości.

– Puść ich! Nie krzywdź! Luuuudzie! Bandyty! – krzyczała niewiasta, próbując przy okazji złapać i unieruchomić ręce domniemanego przestępcy.

– Ależ pani Marysiu! To ja! Niech pani przestanie!

Kobieta spojrzała w oczy Maurycemu. Nadal próbowała złapać go za ręce, ale z mniejszą niż na początku zwarcia zawziętością.

– Pani Mario, na Boga! Co pani robi? Jacy bandyci? Jacy złodzieje? – spytał, próbując zepchnąć z siebie stukilogramową „agresorkę”.

Niestety zadanie nie należało do najprostszych. Zsynchronizowanie dwóch sporych gabarytów ciał zablokowanych w małej przestrzeni było niczym próba wciśnięcia rękawicy bokserkiej do dziurki w nosie. Misja to niemożliwa, choć znam kilku eksploratorów, którzy próbowali dokonać tej sztuki również z rozbiegu.

Ale wracając – Maurycy i Maria Leokadia Potocka-Dziurawiec-Benc tkwili w tym klinczu już prawie minutę, kiedy usłyszeli nad sobą ciche chrząknięcie.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam w tych frywolnych zabawach, ale poszukuję Jadwigi lub Maurycego Niepsujów. Solo, ewentualnie familijnie.

Marii Leokadii udało się przekręcić na bok i objąć wzrokiem sylwetkę niespodziewanego gościa. Mężczyzna nosił czarny, filcowy kapelusz i popielaty płaszcz sięgający do połowy łydek. Spod płaszcza wystawała kraciasta marynarka i bryczesy

oficerskie. Nieznajomy miał na nogach wysokie sznurowane botki, wzór militarny, z opinaczami. Wspierał się na trzymanej w prawym ręku lasce zwieńczonej z jednej strony okuciem w kształcie naparstka, z drugiej dużą srebrną gałką.

– Czy to może ktoś z państwa? – Wskazał metalową stopką drewnianej laski na leżących. – A może mam szczęście i jestem świadkiem tradycyjnych rytuałów rodziny Niepsujów?

– uśmiechnął się ironicznie i wycofał laskę do szwu spodni.

– No co pan! – Pierwszy zareagował Maurycy. – Proszę sobie nie wyobrażać, tylko pomóc nam wstać!

Maria Leokadia wyciągnęła rękę, którą ochoczo złapał nieznajomy. Z zadziwiającą lekkością postawił kobietę na nogi (przypominam, że sąsiadka waży około stu kilogramów), a kiedy już to uczynił, z równą gracją pomógł powstać Maurycemu.

– Żeby było jasne, nie było żadnego napadu, gwałtu czy innego kidnapingu! Po prostu głośniki w telewizorze się zablokowały przez chwilę, a psy i koty dorzuciły swój wkład do tej kakofonii! – Maurycy popatrzył na sąsiadkę spod zmarszczonych brwi. – Teraz proszę iść do siebie i nie robić zamieszania.

– A bo ja... – Kobieta spuściła wzrok i przygarbiła się nieco.

– Tyle się mówi o tych napadach i morderstwach. A przecież ostatnio w naszej gazecie napisali, że państwo jakiś skarb znaleźli, to ja pomyślałam...

– Niech pani tyle nie myśli, tylko idzie do domu i zaparzy meliskę dla spokoju. Nikt nas nie napadł! Rzecz martwa się zezłościwiła i tyle.

– Martwa? – ożywiła się kobieta.

– Tak się tylko mówi. Nie ma u nas niczego martwego, żadnego trupa!

Maria Leokadia odwróciła się powoli, otworzyła drzwi do swojego mieszkania i wolno weszła do środka. Zanim jednak całkowicie zniknęła z oczu pozostałej dwójki, wysyczała jeszcze:

– Ale jakby jakaś pomoc – wskazała na przybysza – to ja mogę zadzwonić po synka.

– Jestem wdzięczny za reakcję i w ogóle, ale dziękuję, nie trzeba! – Maurycy skinął głową i domknął drzwi sąsiadki. Miał jednak nadzieję, że pomoc od wspomnianego synka, czyli Dominika Dziurawca, nie będzie potrzebna. Choć gdyby była, to akurat tego smyka z chęcią by widział u swego boku. Albowiem Dziurawiec junior, choć intelektualnie raczej nie błyszczał, nadrabiał ten brak masą mięśni i ich siłą. Do rozwiązania sudoku na pewno by się nie przydał, do roli lewarka przy wymianie koła w samochodzie na pewno. Ostatnio jednemu ze znajomych pomógł na przykład przy poszerzaniu przestrzeni kuchennej o sąsiadujący z nią przez ścianę pokój. Pan Dominik wszedł po prostu do kuchni i przeszedł do tegoż pokoju bez użycia drzwi. Na skróty. Przez ścianę.

– Nazywam się Jeremi Ślizg. Z tych Ślizgów... – Nieznajomy wyrwał Maurycego z krótkiego zamyślenia.

– Z jakich Ślizgów?

– Z tych! – dorzucił lekko zdenerwowany gość. – Ale nie o tym chciałem rozmawiać. Doszły mnie słuchy, że stał się pan wraz z małżonką posiadaczem pewnego wyjątkowego kufra i że ów trafił już pod strzechę pańskiego domu. A ja jestem przypadkowo przechodzącym obok antykwariuszem, który z przyjemnością odkupi od pana ten skarb. I to bez zagładania do środka!

– Tak w ciemno?

– Bien sûr! Dokładnie tak. Precyzja, z jaką pan to określił, jest wręcz zadziwiająca! – Ślizg zdjął kapelusz z głowy i zaczesał kosmyk rzadkiej grzywki. – Widzi pan, po społecznej degradacji mojego zawodu i wyparciu z pólek pięknych antycznych wydań na rzecz źle napisanych i złożonych podręczników do historii i terażniejszości, taka brawurowa akcja zakupowa będzie dla mnie przyjemną odmianą. Z przyjemnością przypomnę sobie szaleństwa, jakie towarzyszyły mi podczas młodości durnej i chmurnej. Z radością poczuję ponownie gęsią skórę antykwarycznego podniecenia! Pora na przygodę, na pocucie wiatru we włosach, na posmakowanie życia niczym Indiana Jones!

– I niby ten jeden kufer ma zrobić to wszystko?

– Tak, szanowny panie! Bo to ma być przygoda na moją miarę, na miarę małomiasteczkowego antykwariusza, a nie profesora uniwersyteckiego!

– Znaczy robi pan to trochę dla jaj i trochę, żeby ponownie je pocuć?

– Jak zwykle w punkt! Może nie w mojej nomenklaturze, ale w punkt! A żeby nie być gołosłownym. – Ślizg sięgnął do wewnętrznej kieszeni czarnego płaszcza, wydając z niej grubą kopertę. – Oto moja propozycja. Proszę przeliczyć i powiedzieć, czy kwota będzie adekwatna.

Maurycy odruchowo wyciągnął dłoń, ale zaraz ją cofnął.

– Pan wybaczy, ale nie jestem zainteresowany. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Koperta wisiała w powietrzu jeszcze kilkanaście sekund, wreszcie antykwariusz schował ją z powrotem do kieszeni.

– W porządku. Nie naciskam – powiedział oschle. – Gdyby jednak zmienił pan zdanie – tym razem w rękę gościa pojawił się prostokątny, biały kartonik – oto moja wizytówka. A teraz żegnam. Do rychłego, mam nadzieję, zobaczenia! – Ślizg machnął połą płaszcz i zszedł powoli ze schodów. Metalowe żabki, którymi miał podkute wojskowe buty, zastukały na marmurowych stopniach.

Maurycy zamknął drzwi. Oparł się o nie i odetchnął głęboko kilka razy. Nagle zdał sobie sprawę, że pozostawił w salonie rodzinę wraz z gadającym lisem. Wpadł do pokoju, machając dziarsko drewnianą łyżką. Psy leżały przy balkonie, koty wyglądały zza krawędzi szafy, a Jadwiga siedziała na wersalce z lisem wtulonym w jej pierś. Zwierzak popatrzył w jego stronę:

– Zły zapach! Zły pan!

Jadwiga pogładziła zwierzaka po głowie.

– Już spokojnie...

ROZDZIAŁ VIII

Mroczne eksperymenty

W niewielkim pomieszczeniu panował półmrok. Lampka kreślarska przymocowana do sekretarzyka ustawionego pod oknem, przesłoniętym ciężkimi welurowymi zasłonami, rozświetlała ledwo metr, może półtora najbliższego otoczenia. Z szarości i czerni okrywających pokój gdzieś w kącie wychylały stare meble i dziesiątki małych twarzy, korpusów, rączek i nóżek plastikowych, drewnianych i szmacianych lalek. Na gresowej podłodze walały się skrawki papieru, jakieś kamienie i korpusy zabawek z wypalonymi okrągłymi otworami na piersiach. Przy biurku siedział mężczyzna w rozciągniętym brązowym swetrze, szarych spodniach dresowych i skórzanych łapciach wsuniętych na bose stopy. Wpatrując się w kawałek papieru przez wielką lupę, zapisywał szereg dziwnych znaczków, powtarzając szeptem pod nosem ich znaczenie. Dookoła, na blacie sekretarzyka, porozrzucane były mniejsze i większe kartki, zawierające podobne zapiski. Obok nich piętrzyły się ołówki, pióra, stalówki i kilka kałamarzy. Z małych szufladek znajdujących się u wezglowia blatu wystawały inne przybory piśmienne, cyrkle, śrubokręty, linijki, końcówki sznurków, czasem jakieś dziwne patyczki i druty. Po prawej stronie, przy starej temperówce na korbkę, leżała lalka. Szkla-

ne oczy wpatrywały się w szarość sufitu. Mężczyzna rozpiął kilka guzików jej małej, niebieskiej koszuli, odsłaniając okrągły, niechlujnie wydłubany otwór w plastikowej piersi. Włożył do niego zapisywany przed chwilą, złożony w kostkę skrawek papieru. Odsunął jedną z małych szufladek, wyjął ze środka małe pudełko, a z niego błyszczący, przypominający jajko, czerwonawy kryształ. Lekko przetarł go dłonią i wcisnął do otworu. Całość dopchnął delikatnie kciukiem. Położył dłoń na piersi lalki, zamknął oczy i wyszeptał jakąś niezrozumiałą formułkę. Kryształ pojaśniał. Spomiędzy palców mężczyzny wyprysło kilka żółto-białych promieni. W pomieszczeniu pojaśniało.

Nagle wewnątrz lalki coś zaskwierczało, światło rozbłysło z kilkukrotnie większą mocą i zgasło. Spomiędzy palców mężczyzny wypłynęły strużki szarego dymu, a on sam syknął z bólu i odsunął dłoń. Na pokrytej czarnym nalotem skórze pojawił się czerwony ślad oparzenia. Spojrzał na lalkę. Krawędzie otworu na jej piersi były okopcone, a w kilku miejscach plastik lekko się nadtopił. W środku, otulony płatkami spalonego papieru, leżał kryształ. Nie był już jednak czerwony, lecz czarny niczym węgiel.

– Bon sang... – Mężczyzna zaklął szpetnie. Bolała go dłoń, oczy, kręgosłup. W ciągu kilku ostatnich godzin kilkanaście razy powtarzał tę samą operację. Niestety bez rezultatów. Strzykało mu w plecach, piekła oparzona skóra, no i był głodny. Dość. Czas zrobić sobie przerwę.

Nagle, gdzieś w rozlewającym się po pokoju mroku, rozbrzmiał dźwięk zegara. Kurant zabił dwa razy.

– Mikuś! Miiikuuuś! – krzyknął mężczyzna.

Na zewnątrz coś zaszurało, zadudniło, brzękło, a następnie przeszło w rytmiczny dźwięk kroków. Zawiasy drzwi skrzypnęły, a do pomieszczenia wpadło z korytarza ostre światło. Mężczyzna zmrużył oczy i odruchowo przesłonił je dłonią.

– Słucham, jaśnie pana! – powiedział osobnik stojący w progu.

– Już czas, mój drogi. Weźmiesz ten list – siedzący za biurkiem sięgnął do dolnej szuflady i wyjął z niej białą kopertę – i zanieś do państwa Niepsujów.

– Służę! – Mikuś sięgnął po list, a następnie obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

W pokoju znowu zapanował mrok, rozjaśniony jedynie światłem niewielkiej lampki kreślarskiej. Mężczyzna wygiął się niczym kot. Wskakujące na swoje miejsce kręgi kręgosłupa chrupnęły cicho.

– To do roboty, panie Michale! – wyszeptał.

Pochylił się nad sekretarzykiem, sięgnął po kolejny skrawek papieru, poprawił wielką lupę i zaczął wypisywać drobny szlaczek tajemniczych znaków.

ROZDZIAŁ IX

Interes życia

– Jeszcze jedną kawkę poproszę! – Tomasz Wąs uniósł dłoń i pstryknął palcami w kierunku przechodzącego między małymi okrągłymi stolikami kelnera.

– Pan do mnie? – Młody mężczyzna popatrzył spod ściągniętych brwi na gościa.

Nie lubił takich zaczepek. Przecież nie był koniem! Wystarczyło podnieść rękę, on to naprawdę widzi! Nie zrugął jednak redaktora, bowiem potem to jego równo z trawnikiem zjechałby szef restauracji. A ten potrafił to robić. Zazwyczaj był spokojnym człowiekiem, ale kiedy ktoś wszedł mu na odcisk albo sprawa dotyczyła obsługi klienta, budziła się w nim bestia. W ciągu minuty, z szybkością radzieckiej pepeszy, potrafił na jednym wydechu wymienić tyle inwektyw, potem ich synonimów, następnie synonimów tych synonimów, że formułka czytana każdorazowo po reklamie jakiegoś leku w radiu czy telewizji była niczym wierszyk deklamowany przez flegmatycznego przedszkolaka. Na dodatek odtwarzany w zwolnionym tempie.

– Pan życzy czarną czy może z mleczkiem?

– Normalną! – Wąs sięgnął po aparat fotograficzny. – Tylko na jednej nodze... – Włączył tryb przeglądania zdjęć.

– Spytam na kuchni czy mamy taką kawę... – zażartował młody kelner.

Niestety nikt nie zrozumiał rzuconego na odchodnym dowcipu. Poza tym Wąs już go nie słyszał. Pochłonięty przeglądaniem ostatnio zrobionych fotek puścił wic mimo uszu. Akurat doszedł do fotografii wykonanych w sekretariacie burmistrza. Tych po sławetnym zajściu na poddaszu i wybiciu dwóch urzędowych jedynek. No i Klops – zaśmiał się w duchu. Już miał przewinąć jedno ze zdjęć, kiedy coś zwróciło jego uwagę. Nachylił się nad wyświetlaczem. Powiększył obraz.

– Co jest?

– Co cię tak zainteresowało, przyjacielu? – Jan Krzysztof Klops położył dłoń na ramieniu redaktora. – Długo czekasz?

– Nie, nie... – Zaskoczony Wąs zasłonił ekran, a następnie wyłączył aparat. – Jedną kawkę dopiero... Dosłownie przed chwilą zamówiłem drugą.

– Normalną? Jak zwykle?

– Tak. Tego przyzwyczajenia jakoś wykorzenić nawet najlepszym cappuccino nie potrafię.

– Za mało w świecie bywasz. – Burmistrz podniósł rękę i strzelił palcami. – Trzymasz się tej dziury jak szczur! Stasiu!

– krzyknął, widząc kelnera. – Dla mnie jak zwykle!

Młodzian uklonił się i zniknął na zapleczu.

– A ty co? Już się znudziłeś burmistrzowaniem tej dziury?

– A żebyś wiedział! – Klops usiadł przy stoliku i rozejrzał się po pomieszczeniu.

Sala była praktycznie pusta, tylko w kącie obok drzwi wejściowych siedziała jakaś para i jadła zupę. Kobieta właśnie

skończyła i zaczęła wycierać kąciuki ust papierową chusteczką, mężczyzna dosiorbywał ostatnie łyżki.

– Przecież twój stołek to marzenie leni i nieudaczników. Praktycznie nic nie musisz, nawet przychodzić do pracy! W razie czego możesz się wyłgać innymi ważnymi obowiązkami! Kto cię sprawdzi! Od roboty masz ludzi, a ty możesz bąki zbijać i wylegiwać się w ogródku!

– Właśnie, w ogródku! Sory Gregory, mam większe ambicje. Wylegiwać to ja się mogę, ale na plaży w jakimś topowym kurorcie!

Do stolika podszedł kelner. Na tacy niósł dwie filiżanki kawy. Normalną, czarną postawił przed Wąsem, kremową z ekspresu przed Klopsem. Tuż obok wylądował niewielki talerzyk z cukrem w małych podłużnych torebkach.

– Dziękuję ci, Stasiu – odezwał się burmistrz. – Jak tam ojciec? Co tam nowego u niego?

– Nic nowego! Od kilku lat nic... – Chłopak postawił na tacy filiżankę po wypitej przez redaktora kawie, po czym odwrócił się na pięcie. – Zmarł cztery lata temu! A ja mam na imię Jakub, Staś to kolega z drugiej zmiany! – dodał przez ramię, odchodząc w kierunku kontuaru.

– To pozdrów tatusia ode mnie! – Klops, szczególnie w tych momentach gdy odpowiedź kompletnie go nie interesowała, wyłączał uwagę i puszczał odpowiedzi mimo uszu. Taka nauczycielska umiejętność, szlifowana i doskonalona przez wiele lat pracy w szkole. Tak było i tym razem. Stąd i bezsens odpowiedzi.

Kelner był oburzony, choć nie dał tego po sobie poznać. Jan Krzysztof tymczasem nieświadomy swojej gafy, jakby nigdy

nic rozdarł papierową rurkę i wysypał zawarty w niej cukier do filiżanki. Jeden, drugi, trzeci, czwarty... Lubił słodką kawę. Wąs tylko zamieszał swój napój. On nie słodził. Odstawił cukier ze względów zdrowotnych, jeszcze zanim w sklepach pojawił się słodzik. I się przyzwyczaił.

– Topowy kurort? A nie byłeś tam kilka tygodni temu? I to w dużym procencie w ramach budżetu miejskiego? – Wąs spojrział na burmistrza, nie przestając mieszać kawy.

– Tam zaraz w ramach! – obruszył się Klops. – Ten urlop mi się po prostu należał! Wiadukt dla miasta skończyłem!

– Nie ty, przyjacielu! Miejskich pieniędzy było w nim tyle, co na obsianie trawnika przy zjazdach! Pamiętaj, z jakich to było środków!

– A te środki to czyje? Moje, twoje, nasze! – Jan Krzysztof już miał rozpocząć wyuczoną na potrzeby wiecowe gadkę, gdy przypomniał sobie, dlaczego tu przyszedł. – Dobra, dajmy spokój, nie po to cię tu zaprosiłem, Tomaszu. – Jest po imieniu pomyślał Wąs, więc sprawa najwyższej wagi. – Powód jest poważniejszy i może znacząco wpłynąć na twoje i moje życie. Chodzi o grubą kasę.

– Czyli że co? – zapytał fachowo.

– Nic poza prawem, wszystko na legalu! Bardziej chodzi o to, by od rozpoczęcia do zakończenia sprawy pomóc w jej ewentualnym wyciszeniu. No wiesz, żeby nie przedostała się do publicznej wiadomości. Za lekką pomoc w jej załatwieniu i większą przy jej zamieceniu pod dywan zostaniemy sownie wynagrodzeni. Ja sobie wyjadę do kurortu, ty sfinansujesz sobie media, jakie będziesz chciał.

– I to wszystko na legalu? U nas? – Dziennikarz wypił łyk

kawy. – Przecież u nas kradzież alkoholu ze sklepiku na rynku uznano za lokalną aferę stulecia! To, co mi proponujesz, musiałoby mieć wymiar co najmniej sto razy większy, bym w ogóle kiwnął palcem.

– Będziesz miał te swoje sto razy więcej! Co ja mówię, nawet tysiąc! – Burmistrz uśmiechnął się szelmowsko. – Skoro ja ruszam swoje burmistrzowskie cztery litery, to gra na pewno jest warta świeczki. A wiesz, że ja się po byle kilka złociszy nie schylam. Ale wszystko wyjaśni ci ktoś inny. Ja jestem tylko trybikiem tej maszyny! Pozwól, że ci przedstawię szefową i głowę całego przedsięwzięcia. – Mężczyzna podniósł się z krzesła i wyciągnął rękę do kobiety, jeszcze niedawno jedzącej zupę przy stoliku obok.

– Pani pozwoli, że się przedstawię! – Wąs wstał od stołu i wyciągnął dłoń w geście powitania.

Jakby spod ziemi wyrósł między nim a kobietą jej towarzysz. Złapał redaktora za nadgarstek i wykręcił go fachowo. Wąs krzyknął z bólu. Zza kontuaru wychyliła się głowa „Stasia”, oceniła sytuację i schowała się z powrotem.

– Spokojnie, pani Klaro! To swój człowiek! – Klops uśmiechnął się i przysunął krzeselko dla kobiety.

– Bruno, zostaw! – powiedziała, a ochroniarz wyszczerzył zęby i zawarczał, puścił jednak Wąsa i odszedł dwa kroki do tyłu. – To teraz, panowie, możemy porozmawiać o interesach!

ROZDZIAŁ X

Trochę dłuższa drzemka

Maurycy patrzył na żonę z wtulonym w jej pierś lisem i nie wiedział, co robić. Interweniować czy czekać na rozwinięcie sytuacji. Niestety ta jakoś rozwinąć się nie chciała. Nawet zwierzęta nie przychodziły z pomocą. One również lekko zastygły, wpatrując się w tulącą się na wersalce parę.

– No co? – przerwała milczenie Jadwiga. – Co miałam zrobić?

Lis wyrzwał spod brody kobiety. Najpierw nieśmiało, po chwili nieco pewniej, wreszcie wystawił cały pysk na zewnątrz i wciągnął solidny haust powietrza do nozdrzy.

– Znaczą mamy jednego łotrzyka z głowy! – Lis zsunął się z kolan Jadwigi i usiadł obok na wersalce. – A ty, kawalerze, przestań machać tą łyżką, bo jeszcze komuś oko wydłubiesz! Maurycy spojrzał na rękę trzymającą drewniany sztuciec. Faktycznie, fechtował nim, choć wcale sobie z tego nie zdawał sprawy. Delikatnie i bez rozmachu, ale jednak. Najdziwniejsze było jednak to, że nie potrafił tego zatrzymać. Dopiero kiedy złapał się za przegub drugą dłonią, bezwiedny tik ustał.

Jadwiga w tym czasie wpatrywała się w lisa i zachodziła w głowę, co teraz. Wypadałoby zadać jakieś pytanie, spró-

bować wyjaśnić całą sytuację. Przecież musi być rozsądne i logiczne wytłumaczenie tego, co przed chwilą i nadal ma miejsce! To ani przewidzenie, ani sen na jawie. To fakt namacalny, siedzący obok niej, na jej osobistej wersalce! Zadała wreszcie jedyne słuszne w tej sytuacji pytanie:

– Serniczka?

– Nie odmówię! – Gustaff spojrział na nią i uśmiechnął się szeroko. – Jeśli można, to poprosiłbym również o coś do picia. Strasznie zaschło mi w pysku! – Omiótł pokój wzrokiem, zatrzymując go nieco dłużej na zwierzętach i wyłączonym ekranie telewizora. – Widzę, że co nieco się zmieniło przez ostatni rok.

Rok? Jaki rok? – pomyślał Maurycy. Nadal jednak nie potrafił wykrztusić słowa. Wcisnął łyżkę do tylnej kieszeni spodni i podążył za żoną do kuchni.

– Co ja mam robić?! – spytał szeptem, kiedy stanął za jej plecami.

Jadwiga przerwała na chwilę kroić ciasto i nalała wody do elektrycznego czajnika.

– Na razie wyjmij herbatę z szafki. I wsyp cukier do filiżanki!

– Spojrzała na męża. – Tyle razy prosiłam, żebyś kupił jakąś cukiernicę. A po co, a po tamto, ciągle miałeś jakieś wymówki. A teraz, jak goście wpadają w ilościach hurtowych, nie ma w co cukru wsypać!

– Spokojnie, dam sobie radę! – dobiegł głos lisa zza ich pleców. – Zresztą jeśli nie macie łyżeczek i talerzyków, też jakoś sobie poradzę. Dobry serniczek zliżę nawet z brudnej podłogi! – Zwierzak rozejrzał się po kuchni. – Ale widzę, że u szanownych państwa taki lekki przepych. Meble gustowne,

woda podciągnięta, nie wiem tylko, do czego służy to pudło z bulajem i to drugie obok, ale domyślam się, że to jakiś wymysł technologiczny, któren mnie podczas snu ominął. – Lis wskazał pralkę i kuchenkę indukcyjną i pociągnął nosem. – Smakowicie pachnie to ciasto. To kiedy przyjdzie Mikołaj?

– Dwudziestego czwartego grudnia! – odpowiedział odruchowo Maurycy.

– Dopiero? Przecież miał mnie odebrać po trzynastym października. Najpóźniej tydzień po. – Lis uchylił wielkie drzwi lodówki. – O, proszę! Mamy żarełko! I jaki milusi chłodek! Głodem nas nie wezmą!

Lis chwycił kawałek kiełbasy podwawelskiej i zatrzasnął drzwi lodówki.

– To kiedy przyjdzie Mikołaj?

Zapadła niezręczna cisza. Niepsuje patrzyli na siebie, próbując zrozumieć to, co powiedział zwierzak, lis natomiast wpatrywał się to w jednego, to w drugiego człowieka, wyczekując odpowiedzi. Milczenie przerwał dzwonek czajnika. Jadwiga postawiła kubki na metalowej tacy, postawiła na niej również paterę z ciastem i poszła do salonu. Kiwnęła na Maurycego.

– Zapraszam na przekąskę – rzuciła przez ramię, wychodząc z kuchni. – Usiądźmy i na spokojnie sobie wszystko wyjaśnimy!

Lis poszedł za nią, machając zamasyżycie rudo-białym ogonem.

– Więc powiadasz, że miał cię odebrać niejaki Mikołaj po trzynastym października. – Gospodyni nałożyła gościowi duży kawałek sernika i podsunęła kubek z parującym napojem. – Słodzisz?

– Tak. – Gustaff wsypał do herbaty trzy czubate łyżeczki białych kryształków.

– A kim jest ten Mikołaj? – drążyła Jadwiga.

– No jak to? Macie kufer, obudziliście mnie i nie znacie Mikołaja? Coś poszło nie tak? Granatowi coś zwęszyli?

Jadwiga i Maurycy ponownie spojrzeli na siebie. Maurycemu coś zaczęło brzęczeć z tyłu głowy, ale domysł ten był na tyle niedorzeczny, że w pierwszym momencie postanowił go odrzucić. Ten jednak powracał i powracał, aż rozbłysł w głowie mężczyzny jak neon.

– Mikołaj? – wyszeptał. – Mikołaj Niepsuj?

– A niby kto, mistrzu!? – Na pysku lisa znowu pojawił się uśmiech.

– Dziadek Mikołaj! – Maurycy złapał żonę za rękę. – Ale przecież on... On nie żyje!

Promienny uśmiech zniknął z pyska Gustaffa. Sernik trzymany w czarnej łapie wypadł i wyładował na talerzyku. Kilka okruszków odłamało się od kruchego wierzchu i rozsypało się po białej serwecie.

– Umarł? Ale jak to?

– Zginął w czasie wojny! W obozie! W lutym stuknęło osiemdziesiąt lat!

– Ile?

– No osiemdziesiąt!

Lis ściągnął brwi, lekko zmarszczył nos i zawarczał. Siedzące obok stołu psy, oczekujące na jakiś ochłap, przygarbiły się i zjeżyły sierść na grzbiecie.

– Co tu się w ogóle wyprawia szanowni państwo?! Jakie osiemdziesiąt lat? Gdzie jest Mikołaj? A może wy z policji?

- Gustaff zsunął się powoli z krzeselka i stanął za oparciem. S– I jaka wojna, jaki obóz? Ludzie, co tu się dzieje?
- Chyba wiem o co tu chodzi... – Maurycy popatrzył przez szczeble oparcia na ukrytego za nimi wystraszonego i zdezorientowanego zwierzaka. – Chodzi ci o Mikołaja Niepsuja! O dziadka Mikołaja! O M. Niepsuja z kwitu na paczce! Ja jestem Maurycy Niepsuj. M. Niepsuj! Jego wnuk! Siedziałeś w kufrze trochę dłużej, niż zaplanowano, a dokładnie – mężczyzna zamyślił się na chwilę – osiemdziesiąt pięć lat dłużej!
- Matko przenajświętsza! – wycharczał Gustaff i osunął się na podłogę. Zemdłał.

ROZDZIAŁ XI

Bardzo ważne dokumenty

– Miło, że panowie już na miejscu. Punktualność to oznaka szacunku, a szacunek to pierwszy krok do udanej transakcji!

– Kobieta spojrzała na swojego partnera i skinęła głową.

Mężczyzna bez słowa odsunął krzeselko od stolika.

– Dziękuję, Bruno! Panowie, usiądźcie proszę! – zwróciła się do redaktora i burmistrza, którzy stali na baczność po drugiej stronie.

Obaj wykonali posłusznie polecenie. Bruno tymczasem wycofał się na poprzednią pozycję i założył ręce na piersiach.

– Właśnie mówiłem koledze... – zaczął Klops, nie skończył jednak, uciszony gestem niewieściej dłoni.

– Słyszałam, słyszałam. Zanim jednak powrócimy do wątku podziału fruktów, pozwolą panowie, że zapoznam was z detalami sprawy całej.

– To może najpierw się poznamy? Czy można poznać pani godność? – spytał Wąs.

Na słowa redaktora Bruno opuścił ręce i zaczął niebezpiecznie przebierać palcami. Już miał ruszyć w kierunku dziennikarza, gdy powstrzymały go słowa kobiety.

– Spokojnie kochanieńki, spokojnie! Panowie widać mało obyci towarzysko. To mężczyzna przedstawia się jako pierw-

szy kobiecie. To osobnik niższego stanu prezentuje się komuś z wyższych sfer. Warto zapamiętać tę regułę, bo kiedyś może panu pomóc zachować spójność stomatologiczną. Prawda Bruno? – Niewiasta odchyliła się na krzeselku i spojrzała z ukosa na swojego partnera. Ten ponownie założył ręce na piersiach i chrząknął cicho. – Słucham więc...

Wąs i Klops popatrzyli po sobie kompletnie zbici z tropu. Nie takiego obrotu sprawy się spodziewali. To przecież oni byli mężczyznami, panami sytuacji, samcami alfa. Tymczasem już na początku zdominowała ich niewysoka, delikatna kobieta. Owszem, wspomagana muskulaturą i wielkimi pięściami mężczyzny stojącego za jej plecami, ale pomimo wszystko nie zgadzało się to z ich dotychczasowym postrzeganiem świata. To oni do tej pory brylowali na salonach, w urzędach, na rautach i służbowych konferencjach. To oni wskazywali uczestników spotkań – i tych prywatnych i służbowych, wyznaczali kierunki towarzyskich rozmów. A tu skucha. Przedstawicielka słabej płci ostudziła ich jednym kiwnięciem dłoni. Na dodatek zrobiła im małą lekcję *savoir vivre*.

– Przepraszam za kolegę, taka z niego niezdara towarzyska.
– Burmistrz uśmiechnął się szeroko, próbując rozładować nieco sytuację, ale widząc mars na obliczu damy, skulił się i zamilkł.

– Coś kiepsko to panom wychodzi. Może więc ominiemy ten punkt programu. Ja akurat panów znam, wy siebie nawzajem też, więc pozostaje coś powiedzieć o sobie. – Kobieta sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej skórzany portfel ze złotym zapięciem i stary skórzany notatnik z ledwo widocznymi inicjałami DT na okładce. Otworzyła portfel, wyjęła z niego

dwa białe kartoniki i podała po jednym burmistrzowi i redaktorowi. Na każdym centralnie napisane było „Baronowa”, a pod spodem numer telefonu.

– Ale to imię jakieś? Nazwisko? – spytał Klops, obracając kartonik w palcach.

– Jak panowie sobie życzą. Dla naszych kontaktów to w zupełności wystarczy. – Baronowa sięgnęła po notatnik, w którym znalazła wetkniętą między kartki niewielką tekturową zakładkę, i otworzyła go, odsłaniając gęsto zapisane strony upstrzone kilkoma małymi geometrycznymi rysunkami. – Moja rodzina opuściła Polskę w 1939 roku, tuż po wybuchu Drugiej Wojny Światowej. Ojciec zmarł w 1938 roku, więc moja matka w towarzystwie jednego służącego, z ledwo kilkoma pamiątkami rodzinnymi, przez Rumunię, Jugosławię, Morze Śródziemne wyruszyła do Francji. Z niej zaś, z portu w Calais wyemigrowała do Ameryki. W 1942 roku, wychodząc za zabranego z kraju służącego, popełniła mezalians, przez co została wykluczona z rodziny. Cztery lata po ślubie zaszła w ciążę i na początku 1947 roku urodziła córkę. Niestety szczęście rodzinne nie trwało zbyt długo. Pod koniec 1947 roku oboje zginęli w wypadku samochodowym, osierocając ledwo kilkumiesięczną dziewczynkę. Zaopiekowała się nią ciotka, jedyna, która do końca nie odwróciła się od młodych. Wszystkie te wydarzenia miały miejsce mniej więcej w tym samym czasie, gdy w Polsce nowa władza nacjonalizowała rodzinny majątek osieroconej dziedziczki. Dziewczynka rosła zdrowo. Na studiach poznała młodego szlachcica z polskimi korzeniami i już dwa lata po zakończeniu nauki, tym razem nie wzbudzając rodzinnego obu-

rzenia, poślubiła go. Żeby rozjaśnić panom nieco zawiłości kreślonego właśnie drzewa genealogicznego, owo dziewczę to moja matka. – Baronowa spojrzała na rozmówców, sięgnęła po filiżankę i upiła solidny łyk napoju. – Dwa lata po ślubie dziewczę powiło trojaczki. Dwóch chłopców i dziewczynkę. Tą dziewczynką, żeby nie było zaskoczeń, byłam ja. Nie będę zanudzać panów moim życiem osobistym, ani życiem moich braci, koniec końców obaj po śmierci ojca wrócili do ojczyzny, ja zrobiłam to dopiero dwa lata temu, po śmierci matki. I tu zaczyna się najważniejsza część naszej opowieści. Podczas porządkowania rzeczy osobistych rodziców znalazłam ten oto notatnik. – Kobieta podniosła nieco książeczkę. Mężczyźni spojrzeli na skórzaną okładkę, a potem znowu na Baronową, która kontynuowała:

– A w nim informacje wskazujące na to, że spora część miasta, o ile nie całe, oczywiście w granicach z roku 1938, było własnością mojej babki. I ponoć są na to kwity! Niestety nie znalazłam ich w pozostawionych przez rodziców dokumentach ani u rodzinnego prawnika. Rozwiązanie tej zagadki wyczytałam kilka stronik dalej. – Kobieta pośliniła palec, a następnie przerzuciła kilka kartek. – posłuchajcie panowie: „Miasto całe położył u moich stóp, i domy i ulice, i rynki dwa, jeden z kościołem, drugi trójkątny, i dokument potwierdzony o własności mojej, który skradł nocą z 28 na 29 października A.D. 1938 roku Niepsuj Mikołaj, któren złodziejem hotelowym będąc, działania swe w towarzystwie stworzenia diabelskiego uprawiał. To i inne dokumenta w teczce kolorze szarem z herbem tamawa...”

Tu niestety tekst jest mocno rozmazany.

– To znaczy, że – Wąs zmarszczył czoło – pani jest... pani jest... prawnuczką założyciela muzeum?

– Nie, ale moja prababka była jego siostrzenicą! – sprostowała Baronowa. – I to nie byle jaką. Część z kilku tysięcy eksponatów, które wuj przekazał do „Muzeum Starożytności i Pamiątek”, była kupiona z dotacji przekazanych przez mojego pradziada i jego rodziców.

– Pani pozwoli, że ucałuję dłoń członkini tak zasłużonej dla naszego miasta rodziny! – Burmistrz wstał z krzesła i stuknął obcasami.

Niestety jego intencja została źle zrozumiana przez Bruna, który w niecałą sekundę był już przy Klopsie i zakładał mu nelsona.

– Tylko bez poufałości! – rzuciła Baronowa i machnęła na partnera, by ten puścił burmistrza. – Kochanieńki, nie baw się panem!

– To może spotkanie w szkole, pogadanka w klubie historycznym, wizyta podczas sesji Rady Miasta?

– Nic z tych rzeczy, drogi panie! Znajdujemy dokumenty, monetyzujemy je, panowie dostają swoją działkę, ja zabieram swój udział i rozchodzimy się, każdy w swoją stronę. Od razu zastrzegam, z żadnym z panów nie jest mi po drodze.

– To akurat nie było zbyt uprzejme! – Wąs pociągnął solidny łyk kawy, spoglądając znad brzegu filiżanki, czy Bruno nie uzna jego uwagi za zbyt śmiałą.

– Może i tak – niewiasta założyła nogę na nogę – ale stać mnie na to. Poza tym warto pamiętać, kto w tym układzie pełni jaką rolę. O ile mi wiadomo, to ja zlecam pracę, a panowie tylko ją wykonują. Oczywiście za odpowiednią opłatą!

– A właśnie, opłata! – ożywił się Klops. – To co mamy zrobić i ile z tego będziemy mieli?

– Po procencie dla każdego z panów od ostatecznej kwoty sprzedaży. – Baronowa zawiesiła głos i uśmiechnęła się szelmowsko.

– Brutto czy netto? – Do negocjacji dołączył Wąs.

– Niech będzie moja strata, brutto! – kobieta splunęła w dłoń i wystawiła ją przed siebie. – Deal?

– A jeśli panią oszwabimy?

– Nie da rady. Kwity są imienne, więc spieniężyć je może tylko przedstawiciel naszej rodziny. Dla postronnych mają wartość papieru toaletowego.

Redaktor zamyślił się. Liczył w pamięci, ile wyniosłby ewentualny procent udziału w tym interesie. Kiedy po zsumowaniu gruntów i nieruchomości, wyliczana kwota z pięcio- zmieniła się w sześciocyfrową, a licznik nawet nie miał zamiaru się zatrzymać, splunął w dłoń i przybił transakcję. Burmistrz, który z liczeniem miał pewne problemy (co zresztą wykazywały liczne kontrole budżetowe), również obślinił prawicę i położył ją na dwóch pozostałych.

– Ohydny to obyczaj – stwierdziła kobieta – ale w obecnej sytuacji lepsze to niż umowa papierowa. Zresztą gdyby coś poszło nie tak, lepiej zmniejszyć liczbę ewentualnych obciążających nas dowodów do minimum.

Obaj panowie znieruchomieli.

– Ale niby co? – zapytał redaktor.

– Nic, nic. Tak się tylko mówi. – Na twarzy Baronowej pojawił się nieszczerzy uśmiech. – Chodzi o grubą kasę, a to oznacza, że czasem będziemy musieli podzielać na granicy prawa

lub lekko poza nim. Być może, oczywiście. Ale trzeba wziąć pod uwagę wszystkie warianty. No ale do tego mam właśnie panów. Jeden tuszuje doskonale sprawę na poziomie władzy samorządowej i wszystkich podległych jej instytucji, drugi wycisza i zamydla to medialnie. Duet wręcz doskonały. Ale ostatecznie może się okazać, że wasze talenta nie będą potrzebne, więc bez większego wysiłku zarobicie sporą kasę.

– Jakiego wysiłku? – Wąs postanowił podrażnić temat.

– Panowie, nie skupiamy się na detalach. – Kobieta popatrzyła w kierunku kelnera siedzącego przy drewnianym blacie restauracyjnego kontuaru i podniosła dłoń. Kiedy wreszcie skupiła na sobie jego uwagę, przywołała go do stolika, by złożyć zamówienie godne transakcji stulecia. – Szampana poproszę i cztery kieliszki. Tylko jakiś konkretny, a nie sowiecki napój gazowany. Cena nie gra roli! I może coś na ząb. Na co mieliby panowie ochotę? Proszę sobie nie żałować!

– To może teraz powie nam pani, co niby mamy robić?

– Wejść, przeszukać, znaleźć i wyjść.

– Ale czego niby mamy szukać? – Wąs

odsunął się od stolika, by zrobić miejsce kelnerowi, który wrócił, niosąc tacę z szampanem i czterema kieliszkami.

– Pana pytanie mocno mnie zaskakuje i podaje w wątpliwość słuszność wyboru pana kandydatury do naszego interesu! – Baronowa skinęła na kelnera, by ten otworzył butelkę i rozlał napój do kieliszków. – Dokumenty zostały skradzione przez niejakiego Mikołaja Niepsuja, tak?

– No tak...

– Maurycy Niepsuj otrzymał ostatnio kufer po swoim przodku, tak?

- No tak...
 - Dalsze pytania z pana strony uznaję za zbrodnię przeciw inteligencji i logicznemu myśleniu.
 - No tak! Kufer! – Obych panów nagle olśniło.
- Baronowa podniosła kieliszek. Zaraz za nią zrobiła to pozostała trójka.
- Za sprawę!

ROZDZIAŁ XII

Historia pewnego duetu

Kiedy minął pierwszy, drugi i trzeci tydzień obecności Gustaffa w domu Jadwigi i Maurycego Niepsujów i nagle do drzwi ich mieszkania przestali pukać niespodziewani, a w dużej mierze niepożądani goście, małżonkowie uznali, że życie powraca powoli do normalności. Wszyscy domownicy nieco się uspokoili i zajęli stałymi obowiązkami. Koty po staremu wylegiwały się na parapetach, szafach i półkach, psy rozkładały się na podłodze, Jadwiga pachniała na wersalce w swoim pokoju, a Maurycy barłóżył w swoim. Gustaff wstępnie próbował wkomponować się w ten senny krajobraz, stanęło jednak na tym, że nie tyle postawił dom cały na nogi, ale wręcz wywrócił go do góry nogami! Oczywiście jednym z elementów dopasowywania do teraźniejszości było poznanie świata takim, jaki jest, i takim, jaki był. Lis zgłębiał fakty historyczne, uzupełniał wiedzę z nauk ścisłych, zapoznawał nowinki technologiczne. A do nadrobienia było naprawdę sporo. Bo dla kogoś, kto zasnął osiemdziesiąt pięć lat temu i przedrzemał wojnę, dyktat socjalizmu, loty w kosmos, lądowanie na księżycu, powstanie internetu czy wzloty i upadki Britney Spears, przyswojenie takiej porcji nowości było nie lada wyzwaniem. Lis przyjmował tę wiedzę różnie. Raz stra-

chem, zdziwieniem lub niedowierzaniem, innym razem na zupełnym luziku. Jadwiga i Maurycy postarali się również, by zlikwidować i inne zapóźnienia – modowe, kulturalne i kulinarne. Lisa trzeba było ubrać, zacząć uczyć pisać i czytać (bo liter znał tyle, co w swoim imieniu), podciągnąć literacko, filmowo i muzycznie. Pokazać, że kuchnia polska to nie tylko ziemniaki okraszone skwarkami, a potrawy orientalne to nie tylko ryż z cukrem i cynamonem.

Niepsujowie kupili Gustaffowi stos ciuchów, w tym kilka par trampek, które zwierzak ukochał ponad wszystko.

Jak się okazało, lis był też wyrafinowanym smakoszem. Żałował wszystko i w takich ilościach, że zwierzyniec rodzinny oddał mu pokłon i obwołał swoim kulinarnym królem. Gdzie on to mieścił, nie wiedział nikt. Jadwiga i Maurycy nie dociekali. Po pierwszej wizycie w toalecie swojego podopiecznego woleli nie zadawać niepotrzebnych i wywołujących mdłości pytań. Wiesz mniej, żyjesz spokojniej.

Niepsuje byli niezwykle cierpliwymi przewodnikami lisa po nowym świecie. Delikatnie tłumaczyli, rzeczowo wyjaśniali, niestrudzenie informowali, ale i oni chcieli wiedzieć coś więcej o swoim gościu. Nadszedł wreszcie ten moment, gdy padło długo wyczekiwane pytanie:

– A czy możesz nam coś opowiedzieć Gustaffie o sobie?

Widać było, że perspektywa odkrycia tajemnic swojego życia nie bardzo pasowała zwierzakowi. Zaczął się migać, próbował zmienić temat, obiecał sprzątać w pokoju, myć naczynia, wynosić śmieci, nie gryźć butów i oglądać telewizję tylko do dwudziestej drugiej. Na koniec westchnął ciężko, wszedł pod stół i zwinął się w kłębek. Leżał tak prawie godzinę, odma-

wiając wyjścia i wytłumaczenia swojego zachowania. Dopiero prośby Jadwigi wspomagane paczką parówek wywabiły go z kryjóvky.

– Ale skarbie, co się stało? – Kobieta posadziła go sobie na kolanach i pogładziła po głowie.

– Bo ja się wstydę. Bo zły byłem. Bo dopiero kiedy was poznałem, zdałem sobie sprawę z tego, jak naprawdę można żyć. Tak dobrze, bez krzywdzenia innych.

– Ale kochanie, chyba nie było aż tak źle. Poza tym czasem warto wyrzucić z siebie wszystko, co złe, żeby zacząć żyć dobrze. Bez tego bagażu i bałaganu w sercu i w głowie.

Gustaff popatrzył na Jadwigę i Maurycego. Potem na Borysa, który zmieniał pozycję na podłodze i przelotnie obdarzył rozmawiających nieprzytomnym, maślanym spojrzeniem.

– Nie wiem, kiedy się urodziłem. Nie wiem jak, bo zdaję sobie sprawę, że ani ze mnie człowiek, ani zwykłe zwierzę. Mam oczy, umiem połączyć kropki – zaczął lis.

– Pierwsze wspomnienia, jakie mam, to że ciągle dokąds biegniemy, że uciekamy, że ktoś chce nas złapać. Mnie i mojego człowieka. A raczej człowieka i jego mnie. Mój pan, Mikołaj Niepsuj był złodziejem. Obrabiał głównie hotele. Mówili o nim „szczur hotelowy”. Początkowo robił to sam. Wypatrywał niedomknięte okno, obserwował, kto z gości opuszczał pokój, i wchodził do środka, wynosząc, ile się dało, ile zmieścił w worku i w kieszeniach. Potem ukradł mnie. I jakieś stare księgi. Ponoć jakiemuś rabinowi. Wcześniej spił go tak bardzo, że mu jegomość wyśpiewał całą moją instrukcję obsługi. I inne tajemnice zawarte w księgach. Ja byłem mniejszy od Mikołaja, wciskałem się w każdą możli-

wą szczelinę. Otwierałem drzwi i okna od wewnątrz i wpuszczałem go do środka. Resztę robił on. Czasem działaliśmy na tak zwaną „zapomnianą zabawkę”. Mikołaj zostawiał mnie w sklepach, urzędach, gdzie się dało. Wszyscy myśleli, że ktoś o mnie zapomniał, ale że kiedyś wróci po zgubę. Bo nie porzuca się przecież takich drogich zabawek. Odkładali mnie na bok, a ja czekałem na odpowiedni moment. Zazwyczaj nocą otwierałem drzwi lub okno Mikołajowi, a on kończył sprawę. Potem opuszczaliśmy lokal. Rano, kiedy zauważano włamanie, nikt nie pamiętał o liście zabawce. Nikt nie łączył mnie z przestępstwem, a wielu myślało nawet, że stałem się jednym z łupów złodzieja! Działaliśmy tak kilka lat, w różnych miastach, miasteczkach, a nawet na wsiach. Czasem wpadaliśmy na chwilę do dworów szlacheckich, kościołów, wszędzie tam, gdzie można było coś wynieść i zamienić to na kilka złociszy. Wszystko to trwało do czerwca lub lipca 1938 roku, kiedy to Mikołaj wszedł do posiadłości pewnego wyjątkowo ustosunkowanego szlachetki. Nagle zaczął nas ścigać cały regiment policji. Mój pan wiedział, że tym razem nie ucieknie. I tak się stało. Złapali go i postawili przed sądem. Dostał rok. Po ogłoszeniu wyroku udał, że chce skorzystać z ubikacji, i uciekł przez okno. Pobiegł do domu, do mnie. Spakował kilka rzeczy do kufra i... dalej nic nie pamiętam. Mówicie, że nadał mnie na pocztę z opcją odbioru po roku. Być może, tego już nie wiem. Odcięło mnie, i to na osiemdziesiąt pięć lat. Wiem, moje życie nie było krystaliczne. Nie okradałem bogatych i nie rozdawałem skradzionego majątku biednym. Gdyby tak było, nie miałbym dziś wyrzutów sumienia. My

okradaliśmy wszystkich. Ścigały nas nie tylko przekleństwa tłustych szlachetków, ale i biednych matek, ojców i dzieci. Wstydę się tego. Naprawdę. Na to nie ma usprawiedliwienia. Ale ja nie znałem innego życia. Każdą podłość byłem w stanie sobie wytłumaczyć, każdy zły czyn usprawiedliwić. Kiedy jesteś w środku, kiedy nie widzisz i nie znasz alternatyw, przestajesz odróżniać dobro od zła. Znikają wyrzuty sumienia, znika uczciwość i honor. Im bardziej pełna jest sakiewka, tym bardziej puste staje się serce. Naprawdę przepraszam. – Lis skrył pysk w łapach.

Maurycy przetarł oczy dłonią. Wzruszył się. Psy chyba też, choć z całej historii zrozumiały tylko reakcję właściciela. Jadwidze coś jednak w tym wszystkim nie pasowało. Było takie sztuczne i nieszczerze. Złapała lisa za łapę i odchyliła ją nieco. – Spokojnie maluchu! – Jadwiga jeszcze mocniej przytuliła Gustaffa.

– Bo wy na pewno mnie teraz wyrzucicie albo wsadzicie do kufra. Bo takiemu złodziejowi jak ja nie należy się dom i normalne życie. A ja już nie chcę. I nie chcę, żeby wszyscy pokazywali mnie palcami i mówili „o, złodziej, złodziej”!

– Ale przecież nikt cię tak nie nazywa, kochanie! – Jadwiga pogłaskała lisa po głowie.

– Ale ja jestem złodziejem. I jestem zły! – Zwierzak zsunął się z kolan kobiety. – Jest mi wstyd za to, co robiłem, ale było mi dobrze z Mikołajem! Owszem, był złodziejem, ale był moim współnikiem, przyjacielem! Był dla mnie jak ojciec! – Gustaff zmarszczył brwi i podniósł dłonie na wysokość pyska, zacisnął je w pięści i zamachnął się, jakby chciał uderzyć Jadwigę.

Opuścił jednak łapy, obrócił się i pobiegł w kierunku przedpokoju. Kiedy przekraczał próg, zatrzymał się nagle i odwrócił w kierunku Niepsujów. Ktoś pukał do drzwi wejściowych. Maurycy jako pierwszy poderwał się z wersalki.

– Do szafy! – zaordynował, wskazując zwierzakowi miejsce obok czarnego odkurzacza.

– Tylko nie tam! – Lis przyjął pomysł opiekuna bez entuzjazmu. – Ten gościu w środku to straszny nudziarz! Poza tym normalnie rura mu się nie zamyka, a jak chcę pogadać w cztery oczy, szczerze i od serca, to udaje, że nie rozumie, o co mi chodzi!

– Nie mędrkuj! – rzuciła Jadwiga. – Do środka! – Pchnęła lisa i zasunęła drzwi.

Maurycy już stał w przedpokoju i próbował rozpoznać kto zacz przez niewielkie szkiełko wizjera. Odwrócił się do Jadwigi i wzruszył ramionami.

– Nie wiem – powiedział cicho.

Pukanie powtórzyło się.

Niepsuj otworzył drzwi i wyjrzał przez szczelinę na korytarz klatki schodowej.

– Tak, słucham!

– Ja do państwa Niepsujów.

– Słucham!

Przed progiem stał mężczyzna, może czterdziestoletni. Nie wysoki, z zaczesaną na bok blond grzywką i okularami w rogowej oprawce nasadzonymi na koniec lekko spiczastego nosa.

– Chciałbym porozmawiać z państwem w cztery oczy! – wyjaśnił nieco zachrypniętym głosem.

- Proszę wybaczyć, jesteśmy zajęci. Proszę wpaść w jakimś innym terminie! – Maurycy już miał zamykać drzwi, gdy obcy zablokował je nogą.
- Mam bardzo ważną wiadomość! – powiedział przez zaciśnięte zęby – Od Mikołaja! Mikołaja Niepsuja...

ROZDZIAŁ XIII

Mikołaj nieświęty

Maurycy cofnął stopę. Nieznajomy w tym samym momencie naparł lekko na drzwi, stracił równowagę i wpadł do przedpokoju.

– Przepraszam... – wyszeptał zmieszany.

– Pan znał Mikołaja? – spytał Maurycy.

– Tak, poznaliśmy się kilkadziesiąt lat temu. Ale... – nieznajomy popatrzył wymownie na gospodarza – ...czy moglibyśmy porozmawiać w salonie? Przedpokój to mało komfortowe miejsce na takie pogawędki.

– Ależ oczywiście! – Maurycy cofnął się o kilka kroków. – Oczywiście! Gdzie moje maniery! Zapraszam do środka! Kochanie, prowadzę gościa! Wyobraź sobie, że ten pan znał dziadka Mikołaja!

W przedpokoju pojawiła się Jadwiga, coś szepnęła Mauryceму na ucho, następnie zwróciła się do gościa:

– Proszę nie zdejmować butów. Na dworze sucho, błocka pan raczej nie naniesie. Zresztą przy dużych psach to nic nadzwyczajnego! – Wskazała trzy wielkie łby wyglądające z pokoju i wpatrujące się z zaciekawieniem w przybysza.

– Napije się pan kawy czy herbaty? Akurat wybierałam się do kuchni.

– Herbatki. Zielonej, jeśli można prosić. – Mężczyzna ukłonił się i strzelił obcasami.

– Niestety nie mamy. Ale mamy gdzieś zielony kubek, jeśli to pana zadowoli. – Jadwiga klepnęła męża po ramieniu. – Ale polecam cytrynową melisę. Kochanie, zaprowadź pana do pokoju, ja naszykuję herbatki. Może znajdą się też jakieś ciasteczka. Przyjaciele i znajomi rodziny są zawsze mile widziani w tym domu.

– Bardzo u państwa przyjemnie. – Gość rozejrzał się po niewielkim pokoju, pokiwał głową i usiadł na wskazanym przez Maurycego fotelu. W tym samym momencie stanęły przed nim trzy psy. Wyciągnęły łby i próbowały obwąchać przybysza. Ten cofnął nieco nogi, ale podrapał wszystkie po wielkich włochatych głowach.

– Pan wybaczy zachowanie zwierzaków. Nie mieszkamy zbyt wielu gości, dla nich to dość niecodzienna sytuacja – powiedziała Jadwiga, wchodząc do pokoju ze świeżo zaparzoną melisą i miską ciasteczek maślanych.

– Nie ma problemu! – Gość odebrał kubek z napojem i poczęstował się ciastkiem. – A skoro udało mi się dotrzeć aż tutaj – spojrzał wymownie na Maurycego – państwo pozwolą, że się przedstawię. – Odstawił herbatę na szafkę obok, wstał i wyciągnął rękę do gospodarzy. Najpierw do Jadwigi, potem do Maurycego. – Michał Ksawery Maharalski. A skoro prezentację mamy już za sobą, mam nadzieję, że kwit na odbiór kufra nieco ułatwił państwu sprawę.

– To był pan? – Maurycy otworzył szerzej oczy, przypominając sobie scenę spotkania dziwnego listonosza i jego nagłe zniknięcie.

- Nie. To był akurat mój podopieczny. Ale z mojego polecenia. A raczej z polecenia Mikołaja, pańskiego dziada. Mężczyzna usiadł. Sięgnął po herbatę i ciasteczko, nadgryzł spory kawałek i popił go, siorbiąc trochę zbyt głośno.
- Przepraszam, herbatka deko za gorąca jak dla mnie – wyjaśnił.
- Pan z Łowicza? – spytał Maurycy i również sięgnął po ciastko.
- Nie, ja nietutejszy. Owszem, mieszkam na obrzeżach miasta, ale urodziłem się w Poznaniu i jestem tak zwanym obywatelem świata. Mieszkałem to tu, to tam. Nigdzie na tyle długo, by poczuć jakąś wyjątkową więź z lokalną społecznością. Taki ze mnie wolny duch.
- A jak pan poznał dziadka?
- Właśnie, jak się poznaliście? – Jadwiga podstawiała Borysowi pod nos kawałek ciastka. Zwierzak bez zastanowienia kłapnął zębami i pochłonął błyskawicznie słodycz. – Spokojnie brodaczu! – kobieta zaśmiała się cicho, następnie sięgnęła po jeszcze jedno ciastko, przełamała je i dała po połówce Nataszy i Fiedce. – Ale chyba panu przeszkodziłam – popatrzyła na gościa – proszę opowiadać! To jak się poznaliście?
- To było na początku 1962 roku. Leżałem wtedy w szpitalu w Łodzi. Przyjechałem do miasta w poszukiwaniu starego znajomego. Niestety podczas przeszukiwania kamienicy, w której rzekomo mieszkał, doszło do zawalenia jednego z pięter. Jak łatwo się domyślić, ja akurat znajdowałem się bezpośrednio pod nim. Trafiłem do szpitala i wtedy spotkałem Mikołaja. Tak po prawdzie, to on mnie uratował i opiekował się mną podczas pobytu w szpitalu, czyli prawie przez

rok. To on mnie karmił, zmieniał opatrunki, podawał leki, pomagał dojść do dawnej sprawności. Przychodził, kiedy tylko mógł. Przed, po, a czasem nawet w trakcie pracy. Tak po prawdzie, daleko nie miał. Mieszkał w niewielkiej przybudówce przy szpitalu. Był palaczem w kotłowni i zajmował się drobnymi naprawami. Wprowadziłem się do niego po wypisaniu z oddziału. Moje mieszkanie zajął ktoś inny. Ponoć jakaś ważna persona. W urzędzie doszli do wniosku, że nie wyjdę z tego, więc nie warto, by takie lokum jak moje się zmarnowało. Tak to niestety wyglądało w tamtych czasach. Ludzi traktowano przedmiotowo, przedmioty zaś bez uszanowania własności. Takie życie. Obaj chcieliśmy z jakichś powodów zejść ludziom z oczu, obaj potrzebowaliśmy jednak obecności i wsparcia drugiej osoby. Pasowaliśmy do siebie jak dwie połówki jabłka. Żyliśmy tak razem aż do jego śmierci w lutym 1970 roku. Musiałem wyprowadzić się po raz drugi, tym razem z przybudówki przy szpitalu, i przyjechałem tutaj, gdzie Mikołaj mieszkał przed wojną. Tu po raz pierwszy zobaczyłem pańską mamę, panie Maurycy, no i was wszystkich. Widziałem, jak dorastaliście, chodziliście do szkoły, jak się zaczęliście spotykać. Widziałem wasz ślub, urodziny dzieci. Patrzyłem, ale nie mogłem za bardzo się zbliżyć, nawet wtedy, gdy mieliście kłopoty i potrzebowaliście pomocy.

– Ale dlaczego? – nie wytrzymał Maurycy.

– Mikołaj dał mi przed śmiercią jasne wskazówki, co mam robić. – Pan Michał sięgnął po kolejne ciastko. Chwilę je żuł, po czym podjął przerwany przed chwilą wątek. – Kiedy w prasie pojawiła się informacja o kufrze Mikołaja, uznałem,

że czas wprowadzić w życie drugi etap jego planu. I stąd pojawienie się przed waszymi drzwiami mojego podopiecznego z kwitem.

– Ale skąd Mikołaj wiedział o naszym istnieniu? – spytała Jadwiga. – Nazwisko to raczej mało spotykane, ale jakby dobrze poszukać, to zbierze się pokaźne stadko Niepsujów. Tak mi się przynajmniej wydaje! Skąd wiedział, że jesteśmy rodziną?

– Nie wiem, czy wiedzą państwo o niechlubnej przeszłości Mikołaja?

– No coś do nas dotarło... – wyszeptał Maurycy, ale zaraz ugryzł się w język. Bo niby skąd? Przecież gdyby nie Gustaff, nie wiedziałby nic o profesji i życiu swojego przodka. Babcia Janina wspominała o swoim mężu, ale były to opowieści krótkie i mało konkretne. Brak w nich było więziennego rozdziału życia małżonka. Ot, rzucone w przelocie „A Mikołaj to”, „A Mikołaj tamto”. I na tym się kończyło, nawet jeśli publika domagała się rozwinięcia historii. Janina gasiła te chęci krótkim „starczy”. Potem dodawała jeszcze „może kiedyś”, ale to „kiedyś” nigdy nie nastąpiło.

– Tuż przed wojną trafił do łódzkiego więzienia przy ulicy Długiej 13. Wiadomo za co. Tuż przed osadzeniem zdołał nadać kufer, choć trudno tu mówić o nadaniu, bo to było bardziej oddanie go na przechowanie. Jakiś znajomy zgodził się pilnować go i w odpowiednim momencie, czyli po roku, puścić do odbiorcy. Stąd dwie różne i dość odległe czasowo daty na kwicie. Niestety nie zdołał. Zginął zaraz na początku kampanii wrześniowej. Mikołaj opuścił więzienie pod koniec 1939 roku. Taka niespodziewana łaska ze strony oku-

panta. Kufra nie znalazł. Szukał aż do dnia śmierci. Bez skutku. Kiedy opuścił celę, okazało się, że nie bardzo ma się gdzie zatrzymać. Przez jakiś czas mieszkał na ulicy, po bramach, klatkach schodowych, czasem na dworcu kolejowym. Wtedy spotkał Janinę, młodą Żydówkę mieszkającą przy straży pożarnej, na ulicy Lutomierskiej. Zakochali się w sobie i zamieszkali razem. Po pewnym czasie on się jej oświadczył, ona przyjęła te oświadczyny. I tak, pomimo trudnego czasu okupacji, żyli razem do marca 1943 roku, kiedy Mikołaj został aresztowany i wysłany do obozu Kulmhof. Szczęście w nieszczęściu dla niego trafił do obozu w okresie, kiedy Niemcy postanowili mocno go rozbudować i potrzebowali robotników do pracy. Mikołaj trafił do ekipy budowlanej, ale tuż przed ponownym uruchomieniem obozu w czerwcu 1943 roku udało mu się uciec i wrócić do Łodzi. Niestety na miejscu zastał puste mieszkanie. Sąsiedzi opowiadali, że tuż po jego wywiezieniu po Janinę przyszli żołnierze. Wywlekli ją i wywieźli w nieznanym kierunku. Nikt nie wiedział gdzie. Mikołaj przemieszkał tam do końca wojny. Czekał na swojego motylka, bo tak nazywał Janinę, do momentu, gdy po wojnie nowa władza nie wyrzuciła go z mieszkania i zakwaterowała w przybudówce przy szpitalu. Jako były kryminalista nie miał wielkiego wyboru.

– Ale skąd się dowiedział o nas?

– A przepraszam, już uzupełniam dane. – Michał Ksawery uśmiechnął się pod nosem. – Kilka miesięcy przed śmiercią Mikołaj dostał urzędowe pismo z informacją, że Janina przeżyła okupację i gdzie obecnie można ją znaleźć. On już się prawie poddał, a tu proszę, dwadzieścia cztery lata po

wojnie dostał odpowiedź. Okazało się, że Janina zamieszkała w Łowiczu! Mało tego, w tym samym mieszkaniu, w którym on mieszkał przed wojną! Przecież była jego żoną, więc ten kwaterunek należał się jak psu zupa! Miała na to papiery!

– Ale czemu nie wrócił do Janiny, jeśli wiedział, że żyje i gdzie mieszka? – dopytywała Jadwiga.

– Mikołaj był chory. Zostało mu tylko kilka miesięcy życia. Wiedział o tym i wołał pozostać w pamięci żony jako dobre wspomnienie niż umierający i zmęczony życiem człowiek. Taką podjął decyzję. Czy była słuszna, nie wiem. Nie mi to oceniać.

– Smutne... – Maurycy westchnął ciężko.

– Nic na to nie poradzimy.

– Ale wspominał pan coś o jakiejś wiadomości od Mikołaja?

– Jadwiga pogładziła kudłaty pysk Borysa, który rozłożył się na podłodze obok jej stóp.

– A właśnie! – Michał Ksawery aż podskoczył na fotelu – Skleroza droga pani. Skleroza! – Sięgnął do kieszeni bocznej marynarki i wyjął z niej niewielką kopertę z wykaligrafowanym na wierzchu imieniem i nazwiskiem „Maurycy Niepsuj”.

– Ale to by oznaczało, że twój dziadek napisał to, kiedy ty miałeś jakiś roczek, no może dwa! – Jadwiga położyła dłoń na ramieniu męża – Otworzysz?

Maurycy obrócił kilka razy kopertę w palcach. Z jednej strony chciał się dowiedzieć, co przodek miał mu do przekazania, z drugiej trochę się tego obawiał. Spojrzał na gościa. Maharalski patrzył to na niego, to na kopertę. Jak psiak, który zobaczył smakołyk w dłoni swojego pana.

– Dobra, niech wam będzie. – Maurycy oderwał kawałek ko-

perty i wyjął ze środka niewielką kartkę złożoną na pół. Po rozprostowaniu papieru zobaczył rząd cyfr pisany chyba tą samą ręką, co jego imię i nazwisko na wierzchu koperty.

– No i co tam? – spytała Jadwiga i dźgnęła męża palcem. Ten popatrzył żonie w oczy i odwrócił kartkę. Na lekko pożółkłym papierze widniał napis: 10.07. Kobieta ściągnęła brwi.

– Co to znaczy?

– A żebym ja to wiedział! – odpowiedział, zgodnie z prawdą, Maurycy. – A pan, panie Michale?

– Niestety...

ROZDZIAŁ XIV

List od przodka

Maurycy raz jeszcze spojrzał na cyfry wypisane na nieco pożółkłym ze starości papierze. 10.07, nic więcej. Przez głowę przeleciała setka obrazów związanych z nim, mamą, babcią Janiną. Żaden nie zawierał takiej formułki, ani nawet wskazówki wyjaśniającej jej znaczenie. Rozejrzał się wokół, poszukując inspiracji. Zegar. Tak, zegar. Babcia miała taki mały zegarek kieszonkowy! Może 10.07 to godzina? OK, ale co dalej? Maurycy sięgnął do rzeźbionej szkatułki stojącej na półce obok telewizora. Obok broszki, kolczyków i pierścionka, zegarek był najcenniejszą pamiątką, jaką babcia pozostawiła po sobie. Wziął cebulę do ręki i odblokował przednią ściankę koperty. Blaszka odskoczyła z cichym kliknięciem, odsłaniając biały cyferblat ze złotymi oznaczeniami godzinowymi i czarnymi wskazówkami. Ustawione były na godzinie dziesiątej. Maurycy pokazał zegarek żonie i gościowi.

– Może ustaw na 10.07 – zaproponowała Jadwiga.

Michał Ksawery pokiwał energicznie głową

– Dobra! – Maurycy podwadził pokrętko. Ustawił wskazówki i ponownie wcisnął górny grzybek. Nic, żadnej reakcji. Przyjrzał się jeszcze raz zegarkowi. Normalna kobieca cebula. Odblokował tylną pokrywę koperty. Otworzyła się

powoli, odsłaniając tylną ściankę z grawerunkiem kwadratu przekreślonego od górnego lewego do dolnego prawego rogu. Pod nim malutką czcionką ktoś ręcznie wyrył ten sam co w liście rząd cyfr – 10.07. – Nic nie rozumiem. – Maurycy wzruszył ramionami i podał zegarek Jadwidze. Ta obejrzała cebulę ze wszystkich stron i również wzruszyła ramionami. Podała go Michałowi Ksaweremu. Maurycy widział wzór może raz, może dwa. Nie kojarzył mu się z niczym i tyleż wspomnień pozostawił w jego pamięci. Dlatego po zapoznaniu się z listem od Mikołaja jego wnuk skojarzył zegarek tylko dzięki przypisaniu cyfr do konkretnej godziny i ustawień wskazówek. Wzór grawerunku wypłynął z pamięci dopiero po tym fakcie.

– A może szanowna babcia pańska coś opowiadała? Wspominała coś na ucho? Rzuciła przez przypadek jakąś wskazówkę? Może jeśli nie panu, to komuś mogła przekazać klucz do rozszyfrowania tych znaków?

– Nic mi nie przychodzi do głowy! – Maurycy podrapał się po czole.

W głowie miał kompletną pustkę. Przelatywały przez nią pojedyncze obrazy babci Janiny, ale na żadnym z nich nie pojawił się nawet najmniejszy fragment zegarka czy nawet wzorów wygrawerowanych na tylnej jego ścianie. Od kiedy pamiętał, babcia Janina zawsze była sama, nic sobie z tej samotności nie robiąc. Ludzi wokół niej było mało, nadrabiały to jednak zwierzęta. Tych zawsze była całkiem spora gromadka. A to kilka psów wyłowionych ze schroniska, a to koty znalezione przy śmietniku. Czasem przez mieszkanie babci przewijały się kruki, wrony czy gołębie. Pokieresz-

wane przez człowieka lub poturbowane przez pobratymców. Kiedyś była nawet kura, niedoszły wkład mięsny do świątecznego rosolu, która łąziła za swoją opiekunką jak dobrze wytresowany pies. A ludzie? No cóż, tych było jak na lekarstwo. I żeby jeszcze Janina była jakimś odludkiem czy odpychającym wszystkich sobkiem. Nic z tych rzeczy! Zawsze była serdeczna w stosunku do innych, zawsze gotowa do pomocy. Po prostu, jak mawiała – „Z ludźmi jej nie zawsze po drodze”. Woląla towarzystwo zwierząt. Owszem, wychodziła z domu, chociażby na zakupy, ale zamiast siedzieć na ławce przed blokiem i plotkować na wszystko i wszystkich, wolała pokrzętać się po kuchni i popichcić coś dla swoich podopiecznych. Albo dla córki i jedyne go wnuka – Maurycego. A to jej wychodziło doskonale. Potrafiła z kilku składników stworzyć potrawę doskonałą. Kulinarną symfonię smaku. Dobrą rękę miała również do roślin. Zwykły patyk w jej rękach w niedługim czasie pokrywał się pąkami nowych liści, a byle zasuszony korzonek chwilę po jej interwencji wybuchął wielobarwnym kwieciami. Tak wyglądało jej życie, tak mijał jej czas. Na kucharzeniu oraz opiece nad zwierzętami i roślinami. Miała jeszcze jeden sposób na wolne poranki, południa i wieczory. Włączała pralkę i przez okrągłe okienko wpatrywała się w wirujące w środku pranie. A tego, przy tak licznych stadzie, nigdy nie brakowało. Ponoć to ją uspokajało. Woląla to niż oglądanie telewizji. Od kiedy Maurycy pamiętał, żaden mężczyzna nie kręcił się wokół babci Janiny. Choć była piękną i mądrą kobietą, żaden przedstawiciel rodu męskiego nie zajął miejsca w jej mieszkaniu i sercu. Tak się przynajmniej Maurycemu zdawało. Żaden pełnokrwisty

facet nie odgrywał roli męża, ojca i dziadka w tej rodzinie. Co jednak najdziwniejsze, nigdy mu tego nie brakowało. Dopiero teraz, po nieoczekiwanej wizycie Michała Ksawerego, zdał sobie sprawę, że miejsce w sercu Janiny było zajęte. Zajmował je Mikołaj Niepsuj. Złodziej, więzień, uciekinier z niemieckiego obozu i na koniec prosty palacz w szpitalnej kotłowni. A może było coś jeszcze? Wszak do tej pory nie wiedział o swoim dziadku tylu rzeczy.

– A panu Mikołaj naprawdę nic nie zdradził?

– Kompletnie nic! – odpowiedział zgodnie z prawdą Michał Ksawery. Zapomniał jednak dodać, że on treść listu znał od dawna. Tuż po śmierci przyjaciela otworzył kopertę, zapoznał się z jego treścią, a potem zakleił ją z powrotem. Zrobił to na tyle fachowo, że nikt nie zauważył śladu ingerencji.

– A może w kufrze znajdziemy jakąś wskazówkę! – Gość aż podskoczył na fotelu. – Gdzie go państwo macie?

Maurycy wskazał palcem skrzynię pod stołem, zaraz jednak pożałował odruchu szczerości. Przecież znali swojego gościa od niespełna godziny. Czy Michał Ksawery był przyjacielem Mikołaja? To wiedzieli tylko z jego opowieści. Czy jednak tak było naprawdę?

– To nasz prywatny kufer – poprawił się od razu Maurycy. – Na zabawki wnuczki. Ten od dziadka jest u znajomego.

– U nas miejsca mało. – Jadwiga przyszła mężowi z pomocą. I ona wyczuła, że Maurycy trochę się pospieszył z odkrywaniem wszystkich kart.

– Zaglądali już państwo do środka? Zresztą co to za pytanie, raczej na pewno, przecież od momentu znalezienia minęło już tyle czasu.

– Tak, ale w środku raczej nic wartościowego ani ciekawego nie było. Kilka starych gazet, książek, przedwojenne marki i złotówki, jakieś srebrne sztucce, kilka kubków... Sam kufer ma większą wartość niż to, co zostało spakowane do środka.

– Nic nadzwyczajnego? – Michał Ksawery wiedział, że Maurycy kłamie. Po pierwsze unikał spojrzenia mu prosto w oczy, po drugie w kilka sekund poczerwieniały mu policzki. Jadwidze zresztą też. Poza tym jeśli w środku znajdowały się aż tak pospolite przedmioty, to czemu Mikołaj tak bardzo starał się ukryć kufer przed policją? – A jakaś zabawka? Lalka jakaś lub może pluszak?

Jadwiga i Maurycy spojrzeli po sobie. O ile wcześniej mogli tylko przypuszczać, że ich gość znał doskonale zawartość kufra, to teraz mieli co do tego pewność. To pytanie nie było przypadkowe.

– Taki mały lisek był. Kilkucentymetrowy. Rozdarty. Nie udało się go naprawić, futerko się rozłaziło. No i któryś ze zwierzaków dokończył dzieła zniszczenia. Wióry po nim zostały!

– Maurycy głośno przełknął ślinę. – A poza tym tak jak powiedziałem, jakieś gazety, książki, mało wartościowe bibeloty. „Kłamie” – Maharalskiemu wreszcie udało się złapać kontakt wzrokowy z gospodarzem. „Kłamie i wie, że ja to wiem”. Nagle z szafy stojącej przy wejściu do salonu, dobiegło głośne drapanie. Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli w kierunku wielkich przesuwanych drzwi. Jadwiga złapała męża za ramię, a kiedy ten spojrzał na nią, poruszyła ustami, wypowiadając bezgłośnie krótkie zdanie „Gustaff tam jest”.

Drzwi powoli się otworzyły. Rolki, na których przesuwawała się wielka drewniana płyta z przymocowanym pośrodku lustrem,

zaskrzypiały cicho. Maurycy po raz pierwszy pożałował, że do tej pory ich nie nasmarował, jak prosiła Jadwiga. Przez kilka sekund nie działo się nic, aż wreszcie w środku mignęło coś rudego. Michał Ksawery odchylił się na fotelu, by głębiej zajrzeć do środka. Maurycy i Jadwiga zastygli w bezruchu. Zaraz wszystko się wyda. Oczyma wyobraźni gospodarze widzieli już wypadającego z szafy Gustaffa i wyobrażali sobie, co się potem stanie. Emocje sięgały zenitu, a nawet wykroczyły poza przyjętą powszechnie skalę. I kiedy napięcie wiszące w powietrzu zaczęło iskrzyć niczym zimne ognie, z szafy wyszedł kot. Gruby rudzielec zeskoczył z dolnej półki na podłogę, usiadł, popatrzył znudzonym wzrokiem na ludzi, a następnie podciągnął tylną łapę i zaczął lizać się w okolicach, których ze względu na przyzwoitość nie wymienię z nazwy.

Małżeństwo zrozumiało wtedy, że dłuższa wizyta Maharalskiego może doprowadzić do ujawnienia ich tajemnicy rodzinnej i odkrycia lisa. Bo ten nie będzie przecież wiecznie siedział w szafie. Gościa trzeba było się pozbyć. I to w miarę szybko, bo powoli zbliżał się czas obiadowy, a głodny Gustaff był zwierzęciem nieprzewidywalnym.

Maurycy spojrzął na zegarek.

– To już ta godzina? Pan wybaczy, ale musimy się już pożegnać. Mamy kilka spraw do załatwienia! I to niezwłocznie!

Jadwiga ponownie ścisnęła ramię Maurycego.

– Właśnie! Kilka spraw mamy.

– A co z listem, co z zegarkiem? – spytał Maharalski, wstając z fotela.

– Zajmiemy się sprawą! Dziękujemy, że się pan do nas pofatygował. Naprawdę wdzięczni jesteśmy.

Gość chciał zaprotestować, w końcu tyle lat przechowywał korespondencję od Mikołaja, więc zasługiwał, by poznać jakąś interpretację wiadomości zawartej w środku. Tyle lat próbował zrozumieć, co jego przyjaciel miał na myśli. Tyle lat próbował odkryć na nowo formułę, tyle lat szukał skradzionych mu kiedyś zwojów... „Czemu, Panie, tak bardzo mnie doświadczasz!”

Tymczasem Maurycy wziął go pod ramię i powoli zaczął iść w stronę przedpokoju i drzwi wyjściowych.

– Mam takie pytanie na koniec – zwrócił się do Michała Ksawerego. – Myśli pan, że gdzieś, może w szpitalu, może w urzędzie, znajdują się jakieś informacje o Mikołaju?

– Ja bym szukał i tu, i tu! Szpital świętej Anny, to znaczy obecnie Karola Jonschera działa w Łodzi do dziś, a w archiwach miejskich też coś się na pewno znajdzie – odparł Maharalski.

– No tak, no tak. W każdym razie dziękujemy bardzo. Jak trochę ciśnienie opadnie i znajdziemy wolną chwilę, postaramy się zaprosić pana na jakąś herbatkę i pogadać na spokojnie. Zdzwonimy się! Do widzenia.

– Ale nie znacie państwo mojego numeru!

– Jakoś się zdzwonimy! Do widzenia...

Maurycy wypchnął Michała Ksawerego za drzwi i zamknął je na górny zamek. Oparł się o ścianę i odetchnął głęboko.

– Ten facet coś ukrywa! – Gustaff stanął w przedpokoju z ciastkiem w jednej i z kubkiem niedopitej herbaty gościa w drugiej łapie.

– Oddaj to! – Przechodząca z salonu do kuchni Jadwiga odebrała kubek zwierzakowi. – Zaparzę ci świeżą w nowym kubku. Ten jest strasznie obśliniony...

– A co z tym 10.07? – spytał lis, mieląc w pysku maślane ciasteczko.

– Właśnie!

Maurycy wrócił do salonu. Koperta i zegarek leżały spokojnie na stoliku obok talerzyka ze słodczymi. Mężczyzna obejrzał cebulę ze wszystkich stron raz jeszcze i dopiero wtedy zauważył detal, a raczej jego brak, który wcześniej umknął jego uwadze. Na cyferblacie nie było jednego elementu – wskazówki sekundnika.

ROZDZIAŁ XV

Bardzo żywy trup

Szpital, kiedyś świętej Anny, a obecnie imienia doktora Karola Jonschera, znajdował się w Śródmieściu, w samym centrum Łodzi. Zespół budynków, z których spora część powstała w 1884 roku przy zakładach Karola Scheiblera, szczególnie latem prezentował się niezwykle uroczo. Ceglane ściany wspaniale komponowały się z kremowymi gzymsami i zdobionymi obramowaniami okien. Kompleks budynków otulony zielenią promieniował bezpieczeństwem i spokojem. Wyciszał i uspokajał.

Maurycy i Jadwiga stanęli przed wejściem głównym, chwycili się za ręce i odetchnęli głęboko. To tutaj kilkadziesiąt lat temu jako palacz pracował Mikołaj Niepsuj. To tutaj mieszkał wraz z Michałem Ksawerym Maharalskim. To tutaj umarł. Tak po prawdzie nie bardzo to interesowało samego Maurycyego, ale Jadwiga przekonała go, że warto poznać historię przodka. Przynajmniej jakiś jej fragment.

Gustaffa zostawili w domu. Zaopatrzyli go w ciastka, paluszki, wiaderko popcornu, dwie butelki soku jabłkowego i włączyli mu kanał filmowy. Woleli nie ryzykować pozostawienia lisa na parkingu w samochodzie, w obcym, współczesnym mieście. Bo Gustaff znał Łódź, ale tę przedwojenną. W tej

współczesnej mógłby się całkowicie pogubić. W przenośni i dosłownie. Świat nie był gotowy na gadającego zwierzaka, a gadający zwierzak na świat. Za jakiś czas trzeba ich będzie sobie przedstawić, ale jeszcze nie teraz.

W recepcji przywitała małżeństwo Niepsujów młoda, korpulentna kobieta w białym fartuchu. Mówiła wolno i wyraźnie, co chwila oblizując mocno wymalowane krwistoczerwoną szminką usta.

– W czym mogę pomóc? – Uśmiechnęła się szeroko do Niepsujów.

– Taką nietypową prośbę mamy – zaczął Maurycy. – Otóż pracował tu kiedyś mój dziad, Mikołaj Niepsuj. Jako palacz i konserwator. Dopiero niedawno dowiedziałem się o jego istnieniu i próbuję odnaleźć jak najwięcej informacji na jego temat.

– Hmmm... – westchnęła recepcjonistka – To raczej sprawa do kadr. Albo księgowości. Przecież muszą być jakieś umowy o pracę albo potwierdzenia wypłat. Bo przecież szanowny przodek musiał pobierać jakieś uposażenie.

– Słusznie. Czy szanowna pani mogłaby nam w związku z tym wskazać te działy... – Jadwiga oparła się o kontuar i spojrzała na plaketkę imienną wpiętą w obfity biust kobiety – ... pani Bożenko.

– Przepraszam bardzo – stojący kilka metrów dalej lekarz podszedł do Maurycyego i lekko potrząsnął jego ramieniem – czy mógłby pan powtórzyć nazwisko?

– Niepsuj Maurycy, a o co chodzi?

– Pan przyjechał w sprawie Mikołaja Niepsuja, który tu kiedyś pracował?

– No tak. A co, znał pan go może?

Lekarz uśmiechnął się szeroko i wyciągnął dłoń w geście powitania.

– Broń Panie Boże – powiedział medyk, zaciągając słowa z charakterystyczną żydowską nutą. – Dobrzyński Jakub moje nazwisko. Ja pana Mikołaja nie znałem, ale mój papa, który też tu pracował jako lekarz, już tak.

– To świetnie! – Jadwiga przywitała się z doktorem. – A czy moglibyśmy się z nim jakoś spotkać?

– Niestety papa nie żyje. Zmarł trzy lata temu. Świeć panie nad jego duszą! – Dobrzyński posmutniał na chwilę, jednak po kilku sekundach znowu uśmiechnął się szeroko. – Ale ja mam coś dla państwa! Papa mi zostawił kilka dokumentów. Powiedział, że jeśli ktoś z rodziny Niepsujów pojawi się jakimś cudem w szpitalu, mam je oddać. I przy okazji raz jeszcze za życie podziękować! No i cud się zdarzył!

– Za co podziękować?

– Za życie! Bo Mikołaj mojemu ojcu życie podczas wojny uratował. Na plecach rannego kilka kilometrów niósł, jak z obozu uciekali.

Maurycego zaskoczyło. W pozytywnym tego słowa znaczeniu. Po raz pierwszy od chwili, kiedy dowiedział się o swoim przodku. Nie miał o nim do tej pory dobrego zdania, bo niby dlaczego miał mieć. Dziadek jawił mu się głównie jako przedwojenny złodziej, człek do szpiku kości zły. Choć jakby się zastanowić, to tę przypadłość może by mu nawet wybaczył. Ludzie robili gorsze rzeczy, a historia Robin Hooda pokazuje, że można być pozytywnym złodziejem, bo punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Na nietypowy fach

dziadka mógłby machnąć ręką, ale nie na to, że dowiedziawszy się o babci, nie próbował nawiązać z nią kontaktu. Wrócić do niej. Że ją zostawił. Ją, ich dziecko i wnuczka. Tego się nie robi ukochanej. Tego się nie robi rodzinie.

A tu proszę, taka niespodzianka. Okazało się, że nawet takiego osobnika jak Mikołaj stać było na ludzki odruch, ba, na czyn bohaterski nawet.

– A te dokumenty...

– Te papiery to ja w gabinecie mam! Państwo zaczekają, zaraz zniosę! Bożenko – zwrócił się do recepcjonistki – zajmij się państwem! To moi goście! Jakąs kawkę, herbatkę zaparz. Ciastkiem jakimś poczęstuj!

Bożenka dygnęła i oblizała krwistoczerwone wargi.

– Co podać? Kawkę, herbatkę, a może jakiś napój? – zwróciła się do Niepsujów.

– Jeśli można prosić, to lekko gazowaną wodę. Tak jakoś w gębie zaschło. – Maurycy przetarł usta wierzchem dłoni.

– A ty, kochanie, czego się napijesz? – spytał żony.

– Ja to melisy cytrynowej, ale nie wiem, czy pani ma.

– A właśnie że mam! Też taką lubię! – Recepcjonistka klasnęła w dłonie i zniknęła na zapleczu.

Wróciła po pięciu minutach, niosąc parujący kubek herbaty i szklankę gazowanej wody.

– A może jakieś ciastko? Paluszki?

– Nie, dziękujemy. Nie chcemy sprawiać kłopotu. – Maurycy chwycił szklankę i pociągnął spory łyk płynu.

– No i jestem! – Jakub Dobrzyński pojawił się na schodach prowadzących do działu administracyjnego i pokoju lekarzy. W ręku niósł zawiązywaną czarną wstążką brązową teczkę.

– Oto i wspomniane dokumenty. – Maurycy przejął paku-
nek, rozwiązał niewielką kokardkę i wyjął pierwszą kartkę
ze środka. Jakies tabele, łacińskie nazwy, ledwo już widoczne
dopiski ołówkiem.

– Może mi pan pomóc? Ja się na tym kompletnie nie znam.
Choć jako Polak powinienem się znać. Jak na skokach nar-
ciarskich czy tenisie... – Lekarz zaśmiał się cicho, wziął do-
kument do ręki i zagłębił się w lekturze.

– Coś tu jest o niejakiem Sławomirze Bołdydze.

– Tego nie znam.

– Że nie przeżył jakiegoś wypadku. – Lekarz wyjął z teczki
drugą kartkę. – Dziwne, nigdzie nie ma informacji, komu
wydano ciało i gdzie nastąpił pochówek. Jakby denat nigdy
nie opuścił szpitala. I zaraz potem są zlecenia wydania leków
i bandaży w sporych ilościach. Nawet bardziej niż sporych.
Oni słonia leczyli czy co...

– Nie znam człowieka. Nazwisko nic mi nie mówi. Może to
jakiś pacjent świętej pamięci pana ojca?

Jakub Dobrzyński wyjął z teczki kolejny papier. Zmarszczył
brwi i zaczął coś szeptać pod nosem. Wreszcie chrząknął i
spojrzał na Maurycego.

– A nie, przepraszam. Sławomir Bołdyga był pracownikiem
wydającym wszystko z magazynu.

– Znaczy kto nie przeżył wypadku? – Jadwiga zerknęła przez
ramię doktora na dokument trzymany przez niego w dłoni.
Była pielęgniarką, więc nieco się na tym znała. Te formularze
były jednak bardzo stare, znacząco różniły się od tych, jakie
przyszło jej wypełniać współcześnie

– Michał Ksawery Maharalski.

- Że co? Na pewno? – Maurycy zmarszczył brwi.
- Jak amen w pacierzu! Śmierć potwierdził mój papa i jeszcze dwóch lekarzy...

Maurycy spojrzał na żonę. Jakub Dobrzyński wskazał palcem fragment z wymienionym w wąskiej rubryce nazwiskiem ich niedawnego gościa. Przecież Maharalski żył! Rozmawiał z nim! Ba, nawet go dotknął podczas odprowadzania do wyjścia. Miał nawet jego telefon, bo Michał Ksawery wsunął mu po wyjściu z domu wizytówkę pod drzwi. Trupy nie rozdają wizytówek! – pomyślał Maurycy. Czemu akurat ten detal rozbłysł w jego głowie jak neon galerii handlowej? Przecież trupy nie piją herbaty, nie jedzą ciasteczek, nie rozmawiają, nie przychodzą z wizytą... Wizytą! Właśnie! Przecież jeśli Maharalski znał ich adres i domyślał się znalezienia lisa w kufrze, to może przyjść do nich ponownie. A Gustaff siedzi w domu sam.

Małżonkowie spojrzeli na siebie niemal w tej samej sekundzie.

- Gustaff... – Jadwiga zbladła. – Chyba musimy wracać do domu.

ROZDZIAŁ XVI

Bohaterowie połowy akcji

– Powtórzmy panowie raz jeszcze cały plan. Żeby potem nie było głupich pytań. – Baronowa wskazała palcem Wąsa i Klopsa.

Ci wzdrygnęli się jak dzieciaki przyłapane na wyjadaniu po kryjomu marmolady ze słoika.

– Słońce zachodzi o siedemnastej czterdzieści pięć – zaczął Brunon. – Na parkingu na Błoniach spotykamy się o godzinie dziewiętnastej. Z parkingu wyjeżdżamy pięć po siódmej. Na miejscu jesteśmy dwie minuty później. Podwożę was pod garaże przy bloku, a następnie parkuję na placu przy supermarkecie. Wracam do was i obejmuję stanowisko pod balkonem.

– Pan, panie Wąs... – Kobieta wskazała redaktora siedzącego po prawej stronie.

– My z panem Klopsem o godzinie dziewiętnastej dwadzieścia pięć, tuż po tym jak dołączy do nas pan Bruno, wdramy się na pierwsze piętro, wybijamy szybę w drzwiach balkonowych, otwieramy je i wchodzimy do środka. Ja wyciągam kufer spod stołu, pan burmistrz odblokowuje zamek drzwi wejściowych.

– Dlaczego? – spytała Baronowa.

– W razie czego mówimy, że wpadliśmy na herbatkę do rodzi-

ny Niepsujów, zastaliśmy otwarte drzwi, ale nikogo nie było. I że niby właśnie mieliśmy dzwonić na policję w tej sprawie.

– Dobrze! – Po raz pierwszy tego dnia na twarzy Baronowej zagościł nieśmiały uśmiech.

– Pan burmistrz szuka teczki w kufrze – kontynuował Wąs.

– Ja tymczasem czekam przy drzwiach wejściowych. W razie znalezienia dokumentów zamykam drzwi i kieruję się do salonu, skąd przez balkon ewakuujemy się i wraz z Brunonem kierujemy do samochodu. Na szczycie budynku, przy wiacie śmietnikowej, dołącza pani do nas.

– Pan Klops! – Tym razem kobieta wskazała obgryzającego paznokcie lewej ręki urzędnika.

– Obecny! – wyrwało się Janowi Krzysztofowi. – Aaa, rozumiem. – Mężczyzna podrapał się po brodzie. – Odjeżdżamy z parkingu i kierujemy do mojej posiadłości, gdzie żona moja Zofia i córka Grażynka o godzinie dziewiętnastej trzydzieści pięć mają rozpaść grilla. O dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć na działce pojawią się pierwsi goście. Gdybyśmy do tej pory nie dotarli na miejsce, panie mają obowiązek poinformować przybyłych, że pojechaliśmy po napoje.

– Dobrze. Na koniec ja! – Baronowa powiodła wzrokiem po trójce siedzących naprzeciwko niej mężczyzn. – Po dojechaniu na miejsce zajmuję stanowisko przy ścianie szczytowej bloku obok. Tam nie ma lamp, więc można ukryć się w mroku i nie narazić na wykrycie i rozpoznanie. Po sygnale o zakończeniu akcji kieruję się do śmietnika i dołączam do was. Resztę znamy. – Baronowa westchnęła. – Jeszcze tylko sprawdzimy radiotelefony i... do zobaczenia wieczorem!

– Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę – Klops popatrzył na

zegarek, potrząsnął nim, a następnie wyciągnął przed siebie tak, aby wszyscy mogli zobaczyć położenie czarnych wskazówek na złotej tarczy – ale jest już za piętnaście siódma!

– Matko boska, spóźnimy się! – Wąs poderwał się na równe nogi. – Czy nie uważacie, że skoro jesteśmy wszyscy w kupie, to nie musimy lecieć każdy osobno na parking?

– Słusznie! – przytaknął Klops.

Wszyscy spojrzeli na Baronową. Ta wyciągnęła za złotą dewizkę niewielki zegarek z kieszonki w kraciastej kamizelce i pokiwała głową.

– Racja!

Klops złapał za mały plecak i zarzucił go na prawe ramię. W środku znajdowała się czarna linka holownicza zakończona hakiem kotwiczką, kamień wielkości zaciśniętej dziecięcej pięści i dwie pary lateksowych rękawiczek. Kotwiczka owinięta była sznurkiem konopnym. Tak na wszelki wypadek, żeby hak nie obijał się zbyt głośno o metalową barierkę balkonu.

Kiedy wszyscy znaleźli się w samochodzie, zapadła niezręczna cisza. Nikomu nie chciało się po prostu gadać. Na etapie teorii, czyli podczas układania planu, każdy z nich czuł się jak zawodowiec, jakby to, co miało nastąpić, było rutyną, działaniem tak prostym jak zjedzenie kaszki ze złodziejskim mleczkiem. Wszyscy do tej pory, nawet twardziel Bruno, zgrywali chojraków, tak naprawdę jednak bali się jak małe dzieciaki po powrocie rodziców z wywiadówki. Dla każdego był to przestępczy debiut. Owszem, Klops robił jakieś przekręty na przetargach, Wąs pisał kłamliwe artykuły sponsorowane za kasę, Baronowa rzucała służbę na wypłatach, a Bruno nakłamał w swoim cv, ale to było zupełnie co innego. Ciar-

ki na ciele, przyspieszony oddech, ciężkość serca, wahania temperatury, poty, dreszcze i nagła słabość, szczególnie nóg – tych wszystkich objawów doświadczał teraz każdy z nich. Nikt jednak nie powiedział o tym głośno, żeby nie wyjść na mięczaka.

Kiedy wreszcie wyszli z samochodu, minutę po zaplanowanym czasie, nikt nie miał odwagi odezwać się jako pierwszy. Najszybciej doszła do siebie Baronowa.

– No co jest, panowie! Na stanowiska! Czas leci.

Jeszcze raz sprawdzono radiotelefony, zawartość plecaka, życzone sobie połamania kości i wszyscy udali się na wyznaczone stanowiska. Klops i Wąs pod balkon, Bruno na zaplecze garaży, a Baronowa w cień bloku. Akcję komisyjnie uznano za rozpoczętą.

Osiedle, na którym mieszkali Jadwiga i Maurycy, było oazą spokoju. Tak po prawdzie to w jego centrum, czyli tam, gdzie stał blok Niepsujów, nie było słychać nawet samochodów przejeżdżających drogą obok. Owszem, czasem i tutaj dochodził jakiś zbłąkany człowieczy głos lub ryk auta miłośnika sportowych tłumików, ale sporadycznie i głównie przy weekendzie. I dziś na osiedlu również było cicho i spokojnie. Gdzieś w pobliżu zaszczekał pies. I to wszystko. Ludzie siedzieli w domach, szykując się powoli do snu. Wrony zamieszkujące górne partie kilkunastu lip i topoli powoli kończyły dzienne wrzaski i układały się w gniazdach. Baronowa tymczasem zajęła swoje stanowisko i zaczęła wypatrywać niebezpieczeństwa w okolicy klatki schodowej bloku Jadwigi i Maurycego Niepsujów. Na razie nic niepokojącego nie wykryła. Nieco dalej ktoś przemknął na rowerze po drodze osiedlowej, ale poza

tym cisza i spokój. Gdzieś z góry, przez otwarte okno, wypadł na podwórko podniesiony męski głos i nieco cichszy kobiecy. I znowu męski, tym razem znacznie głośniejszy. Z potoku dźwięków można było rozpoznać pojedyncze wyrazy. Niecenzuralne. Czyżby kłótnia małżeńska? Baronowa westchnęła. Nagle zapiszczał trzymany w tylnej kieszeni spodni radiotelefon. Kobieta sięgnęła po aparat. Z głośnika dobiegł szum i przebijający głos burmistrza Klopsa.

– Baronowo, Baronowo! Czy mnie słyszysz? Wąs ty głupku! Tutaj się naciska, nie tutaj! No przecież wiem!

– Słyszę! Co się dzieje!?

– Nie pomagaj! Weź te łapy, gryzipiórku! I jak się boisz, to złaż tchórz!

– Co wy tam robicie? – Kobieta wsłuchiwała się z niepokojem w głosy dobywające się z radiotelefonu. – Przestańcie się kłócić i powiedzcie, co się u was dzieje!

– No bo, Baronowo, chyba nas ktoś uprzedził...

– Jak to?

– No bo w szybie jest już dziura! I wystaje z niej łeb jakiegoś czarnego bydlaka.

– Mogłam to przewidzieć, nie zabrali psów. – Baronowa cmoknęła głośno. – Ale co z tą dziurą?

– No jak byk jest! I jeszcze... Poświeć tam Wąs! Jak to gdzie? Do środka, ciemna maso! – Klops powoli zaczął tracić cierpliwość do partnera. – Kufer stoi na środku pokoju, ze środka wszystko wywalone na podłogę.

– Merde, merde, merde... – zaklęła po francusku kobieta.

– Bardzo nieładnie tak bluźnić. Mama by tego nie pochwaliła! – dobiegł zza pleców Baronowej niski, męski głos.

Kobieta odwróciła się tak szybko, że prawie straciła równowagę. Na widok stojącego przed nią mężczyzną pociemniało jej na chwilę przed oczami.

– Dzień dobry, siostrzyczko!

ROZDZIAŁ XVII

Niecodzienna zdobycz

Baronowej przez chwilę odebrało głos. Stał oto przed nią starszy brat, z którym nie miała kontaktu od dobrych kilkunastu lat!

– Na boga, Jeremi!

– Ano Jeremi! – Mężczyzna wyszedł z cienia i stanął w smudze światła płynącej z latarni ulicznej stojącej kilkanaście metrów dalej, przy niewielkim osiedlowym parkingu. Dopiero wtedy kobiecie ukazał się osobnik znany nam jako antykwariusz Jeremi Ślizg w pełnej krasie.

– Co ty tu robisz?

– Zdaje się, że to samo co ty, moja droga!

– Ale ja nic... – Baronowa rozejrzała się niepewnie wokoło. Miała nadzieję, że żaden z jej partnerów nie pojawi się nagle i nie zdradzi powodu jej obecności w tym miejscu. Niestety akurat w tym momencie przez radiotelefon odezwał się Klops.

– Dobra, dobra, Klarisoldo. – Mężczyzna spojrzał na nią spod ściągniętych brwi. Wiedział, że siostra nie lubiła, jak ją tak nazywał. Przyjemność sprawiały mu jej reakcje na podobne zdrobnienia. – Nie ma co ściemniać! Oboje znamy powód twojej obecności tutaj!

– Baronowo, co mamy robić? Jedno bydle wylazło na balkon i obślinia Wąsa. Co robić? – W głosie Klopsa dało się słyszeć narastającą panikę.

– Złazcie stamtąd! – rzuciła kobieta do sitka mikrofonu. – I wszyscy do mnie. Bruno, ty też!

Baronowa uśmiechnęła się do brata. Tymczasem z głośnika jej nadajnika popłynęły dźwięki odwrotu redaktora i burmistrza z balkonu mieszkania Niepsujów.

„Weź nogę! Nogę weź! Nie tę! I wyjmij mi palec z nosa! Kto tu powiesił bielizniarkę! Nie liź mnie, bydlaku! Klops, nie puszczaj mnie! Trzymaj... Aaaaaa... Matko święta! Hyy... Hyy... Umarłem... Wąs, nie skacz! Nie na mnie! Bam... Szszszsz...”

Przez cały ten czas Baronowa wpatrywała się to w radiotelefon to w brata i krzyczała w myślach:

„Puść ten przycisk! Przycisk puść, głupku!”

Niestety żaden z niedoszłych włamywaczy nie posłuchał jej prośby i całe zajście z towarzyszącymi mu efektami dźwiękowymi transmitowane było na żywo.

– A można to było inaczej załatwić, a nie jednać się z tymi amatorami! – Jeremi Ślizg kiwnął głową w stronę kuśtykających do punktu zbiorczego Wąsa i Klopsa.

– Chyba rękę złamałem... – wyszeptał dziennikarz. – Wezwijcie karetkę...

– Zgłupiałeś chyba! Nie tutaj! Przecież policja może połączyć to z wybitą szybą i włamaniem. Pojedziemy do domu i stamtąd zadzwonisz!

– Ale to boli, królowo!

– I musi boleć! Przestań beczeć! Jesteś dorosłym facetem czy dzieckiem?

– Facetem! – odpowiedział Wąs przez zaciśnięte zęby i wyprostował się niczym struna.

W tym czasie do grupy dołączył Bruno. Podszedł do Jeremiego, przytulił się do niego i pocałował w policzek.

– Witaj, skarbie!

Baronową zatkało. Po raz drugi tego wieczora.

– Skarbie? Jaki skarbie? Co tu się dzieje?

Antykwariusz popatrzył na ochroniarza, a potem na siostrę.

– Wybacz kochana, że ci nie powiedzieliśmy. Jakoś nie było okazji.

– Nie było okazji? To od niego wiedziałeś o naszej akcji?

– Wielka mi akcja! No weź przestań! – Ślizg pokręcił głową.

– Wejście na balkon i wyjęcie z jakiejś skrzynki teczki z dokumentami nazywasz akcją? Przedszkolak mógłby to zrobić z palcem w nosie! A ty spoufaliłaś się z dwojgiem nieudaczników, dla których wyjście z psem na spacer to misja specjalna o podwyższonym stopniu ryzyka! Klaro moja droga, nie myłmy tych dwóch pojęć!

– Ja sobie jednak wypraszam! – ożywił się Klops. – Ja nie mam psa!

– Sama widzisz... – Jeremi westchnął głośno. – A przy okazji. – Sięgnął do skórzanej torby stojącej w cieniu pod ścianą bloku. – Czy czasem nie poszukujesz tego?! – Światło latarni oświetliło szarą teczkę z herbem na grzbiecie.

Baronowa wyciągnęła rękę po dokumenty, ale Ślizg był szybszy. Cofnął je i schował z powrotem do torby, tę zaś przysunął bardziej do siebie.

– Nie ma głupich, kwiatuszku! – uśmiechnął się i pogroził palcem siostrze. – Najpierw podpiszemy małą umowę.

– Niby jaką umowę? – Kobieta zmarszczyła brwi.
 – Widzisz – zaczął Jeremi – gdybyś to ty weszła jako pierwsza w posiadanie tej teczki, mogłabyś dyktować warunki podziału. Niby prawnie dla każdego ze spadkobierców świętej pamięci mamy przysługuje równy kawałek. Niestety znam cię aż za dobrze i wiem, że ujawnienie dokumentów mogłabyś uzależnić od zmian w procentowym podziale tego majątku. Bruno coś mi o tym wspominał. Wiem też, że apetyt masz okropny, bo wpadłaś w niezły dołek finansowy. Dlatego dokumenty przejąłem ja. Może nie jestem święty, ale przynajmniej mogę zagwarantować równy podział między trójką rodzeństwa. Poza tym, jak mawia przysłowie łacińskie: „Fide, sed cui, vide”, czyli „Ufaj, ale bacz komu”. A ja ci, siostrzyczko, raczej nie ufam.

Nagle skórzana torba poruszyła się, a ze środka dobiegły stłumione jęki. Wszyscy spojrzeli w jej kierunku, a antykwariusz trącił ją czubkiem wojskowego buta.

– Co ty, kota Niepsujom ukradłeś? – spytała Baronowa.
 – A to taki mały bonus. – Jeremi skinął na siostrę, by ta zajrzała do środka. Wewnątrz panował mrok, ale w słabym świetle parkingowej latarni dało się zauważyć pomarańczowo-czarne ciało oklejone brązową taśmą pakową.
 – A co to? – Klara odskoczyła od pakunku.
 – Lis. Chyba...

W tym momencie redaktor Wąs, wyprostowany do tej pory jak struna, poczuł, że dłużej nie wytrzyma i osunął się na trawnik. To znaczy zwinął się niczym wąż strażacki. Bruno nachylił się nad nim i sprawdził puls.

– Żyje! Zemdlął tylko! – zawyrokował, po czym wsunął ręce

pod plecy redaktora, podniósł go i zaniósł niczym pannę młodą do samochodu. Auto po wezwaniu Baronowej na wszelki wypadek przeparkował pod śmietnik, dzięki czemu nie musiał taszczyć Wąsa przez ulicę aż na plac przy supermarkecie. – My też się zwijajmy – polecił Ślizg. – Jeszcze ktoś nas przyuważy. Spotkajmy się u burmistrza za pół godziny. Ja muszę jeszcze załatwić jedną sprawę. – Wskazał palcem skórzaną torbę. W środku znowu się coś poruszyło. Antykwariusz ponownie kopnął brązowy pakunek, następnie zarzucił go na plecy i poszedł powoli w kierunku stojącego niedaleko swojego auta.

ROZDZIAŁ XVIII

Mapa prawdę ci powie

Jan Krzysztof Klops wszedł do pokoju. W środku, na kanapie siedzieli, patrząc od lewej, Jeremi Ślizg, Bruno i baronowa. Spod domu wyjeżdżała właśnie karetka pogotowia z redaktorem Tomaszem Wąsem, który pomimo bólu złamanej ręki miał dość siły, by flirtować z urodziwą ratowniczką. Kierowca zjechał z podjazdu kwatery burmistrza, ustawił ambulans na uliczce i włączył syrenę. Modulowany sygnał rozszedł się po przydomowych ogródkach. Samochód powoli opuścił osiedłowy labirynt, wjechał na drogę główną, a tam nabrał prędkości i pojechał do szpitala miejskiego.

– Wąsa na razie mamy z głowy. Mam nadzieję, że się z niczym nie wysypie pod wpływem leków. – Klops usiadł na fotelu naprzeciwko siedzących na tapczanie gości.

– To nie ma co zwlekać. Załatwmy sprawę do końca i rozejdźmy się w pokoju! – oznajmił Jeremi i położył teczkę na drewnianym blacie niewielkiej ławy. – Pod telefonem czeka już jeden mój znajomy notariusz, żeby naszą umowę przelać na papier. Ale zanim tam pojedziemy, spójrzmy, co dzielić będziemy! – Ślizg uśmiechnął się szeroko. – I jeszcze jedno. – Spojrzał na Baronową. – Tych swoich darmozjadów – kiwnął głową w kierunku Jana Krzysztofa – opłacasz ze swojej działki!

– To załatwmy! – Po dokumenty w jednym momencie sięgnęła i Baronowa, i burmistrz.

– Hola, hola! – Jako pierwszy chwycił ją jednak Jeremi. – Nie ma tak dobrze! Ciebie za dobrze nie znam, a to, co jest mi wiadome, nie świadczy o tobie zbyt dobrze. – Wskazał palcem Klopsa. – A tobie nie do końca ufam. – Tym razem popatrzył na siostrę. – Ja ją wyłowilem z mieszkania Niepsujów, dlatego to ja czynić będę honory. – Antykwariusz rozsypał tasienkę związaną w gustowną kokardę i otworzył teczkę. W środku znajdowały się dwie kartki. Jedna zawierała mapę miasta, druga jakieś pismo zapisane lekko już wyblakłym czarnym tuszem.

– I gdzie te akty notarialne? – Jeremi chwycił papiery i obejrzał je z obu stron. – Gdzie pieczęcie, znaki wodne, gdzie jakieś sygnatury?

Dokumenty wyjęła mu z ręki Baronowa. Najpierw obejrzała papiery bardzo dokładnie, a następnie zagłębiła się w treści odręcznie napisanego pisma.

– A widzisz – odezwała się po chwili – tu jest wszystko napisane! – Wyciągnęła dokument do brata. – Musimy się jeszcze przejść w jedno miejsce.

– Czyli gdzie?

– Do muzeum! Popatrz. – Wskazała palcem jakiś fragment pisma. – Rozwiązanie znajdziemy w archiwum, między literą F i G. Znaczą tam chyba są akta.

– Albo jakaś kolejna wskazówka! – Antykwariusz pokręcił głową. – I tak będziemy się bujać bez sensu z miejsca w miejsce?

– Nawet jeśli – kobieta popatrzyła na mężczyznę z wyrzutem – to warto!

– Niech ci będzie, ale jak niby mamy wejść do muzeum? Jak znam życie, do archiwum nie wchodzi się ot tak sobie na kartę dużej rodziny.

Klops podniósł rękę, jakby zgłaszał się do odpowiedzi.

– Spokojnie, pączusku! Teraz dorośli rozmawiają! – Ślizg wskazał na mapie oznaczony krzyżykiem budynek muzeum.

– Tam na pewno siedzi jakiś komandos z grupą inwalidzką, może nawet są jakieś alarmy i inne czujki. Może dla fachowca to nic wielkiego, ale ja nie jestem Tomem Cruisem czy innym Indianą Jonesem!

Klops podniósł rękę jeszcze wyżej.

– Dobra, cukiereczku, co tam chcesz?

– Chciałbym tylko powiedzieć, że ten, jak to pan powiedział, darmozjad, pączuszek i cukierczek jest w tym mieście wskazanym przez społeczeństwo w drodze pięcioprzymiotnikowych wyborów burmistrzem. Mogę pana docinki puścić mimo uszu, wszak poznaliśmy się przed chwilą i raczej długo tej znajomości ciągnąć nie będziemy, i pomimo tego pomóc albo obrazić się i wyprosić wszystkich w tej chwili z tego domu. Co pan woli? Ewentualne frukta mogą skutecznie przesłonić nieprzyjemność przebywania w pana towarzystwie albo i nie. Ale jak wspomniałem, jestem burmistrzem tego miasta, a z tego tytułu wynikają pewne przywileje. Na przykład znajomość dyrektorów i kierowników pewnych urzędów i instytucji. A muzeum się do nich zalicza. Niby ta placówka podpada pod powiat, ale to akurat mi kompletnie nie przeszkadza. A panu niestety tak. Jak więc się państwo domyślacie, dla mnie wejście do środka czy nawet przejrzenie zawartości archiwów to pikuś. Dla pana to wyprawa Magellana. A teraz,

zanim wykonam stosowny telefon do dyrektora tej placówki z prośbą o wejście do środka większą grupą, chciałbym z ust szanownego antykwariusza usłyszeć jedno słowo! – Klops zrobił się lekko czerwony na twarzy. Choć w czasie kilkuletnich rządów nie raz był przez oponentów politycznych obrażany i nauczył się to znosić, to jedna rzecz doprowadzała go do furii – lekceważenie!

– Znaczy że niby co? – Jeremi Ślizg uśmiechnął się zuchwale, choć widać było, że tyrada gospodarza zrobiła na nim wrażenie. On też przyzwyczał się do tego, że nikt nie traktował go z góry. To raczej on ścierał ludzi na proszek.

– Znaczy, że policzę za chwilę do dziesięciu. I jeśli nie usłyszę z pana strony słowa „przepraszam”, to po pierwsze żadnego telefonu nie będzie, po drugie powiadomię kogo trzeba i drzwi muzeum, nawet do tamtejszej toalety, pozostaną dla wszystkich państwa na zawsze zamknięte! – Burmistrz uderzył pięścią w drewniany blat stolika. – Raz, dwa, trzy...

– Pan raczy żartować! – Tym razem to policzki Jeremiego pokraśniały od wzburzenia.

– Cztery, pięć...

– Klaro, weź mu coś powiedz! Ten facet chyba oszalał!

– Sześć, siedem...

– Na twoim miejscu bym przeprosiła! – Baronowa starała się zachować spokój, ale wewnątrz skakała z radości. Ktoś wreszcie usadził jej brata, tego bufona i egocentryka. Jej się nigdy to nie udało, a tu proszę!

– Osiem, dziewięć...

– No dobra! Przepraszam! – Mężczyzna machnął ręką, jakby odganiał muchę.

- A można czulej, bez tej pozy naburmuszonego dzieciaka?
 - spytał Klops.
 - Przepraszam! – powtórzył antykwariusz, tym razem jednak nieco ciszej i spokojniej.
 - I co? Można być dla siebie miłym?
 - Nie przeginaj pan! – dodał cicho Jeremi – I dzwoni!
 - A nie jest nieco za późno? – do rozmowy wtrącił się siedzący do tej pory cicho Bruno.
 - Spokojnie. Jak znam Wojtusia, to siedzi teraz przy grillowanej kiełbasie i integruje się ze społeczeństwem. A właśnie – olśniło nagle burmistrza – przecież i na nas czeka w ogródku mała przekąska! Jest i kaszaneczka, i karkóweczka i szaszłyczki...
 - Dzwoni pan wreszcie!
- Jan Krzysztof wyciągnął telefon z kieszeni, zalogował się i wybrał ze skrzynki kontaktowej numer do dyrektora muzeum. Po dwóch sygnałach odezwał się niski, męski głos.
- Co tam, Jasiu, mordo?
 - Przepraszam, że ci przeszkadzam w ten piękny sobotni wieczór, ale sprawa jest. I to poważna.
 - Wal! – Wojciech Rubaszny, dyrektor na muzealnych włościach spoważniał i przycisnął mocniej telefon do ucha. Trochę z powodu lekkiego niedosłuchu, trochę ze względu na panujący wokół niego gwar rozmów odbywającego się na Błoniach grilla organizowanego przez spółdzielnię mieszkaniową.
 - Mam tu delegację z ministerstwa. Robią objazd po placówkach, bo mają trochę wolnego grosiwa do rozdania. Wspomnieli o kilku miejscach do wsparcia, ale tak jakoś bez en-

tuzjizmu. Pomyślałem, że to może być szansa dla nas. Na wyrwanie tej kasy oczywiście. Ale działać trzeba tu i teraz. Wiem, że jest późno, ale oni rano już wyjeżdżają, więc to ostatnia szansa. Zadzwoń do kogo trzeba, niech mnie wpuszczą do muzeum, ja ich oprowadzę, nawinę makaron na uszy. Może uda się przytulić nieco grosiwa na ten twój przybytek. Wiem, że masz potrzeby, brakuje do remontu sali barokowej i na wystawę o Chełmońskim – kłamał jak z nut burmistrz.

– Jasiu, ale ja jestem już po kilku piwkach...

– Ty sobie siedź tam, gdzie siedzisz. I baw się! Całą sprawę załatwię za ciebie. W końcu czego się nie robi dla przyjaciół! I nie dziękuj! Dla przyjaciół i dla miasta wszystko.

Baronową lekko zatkało. Słyszała o ponadprzeciętnym talencie Klopsa do konfabulacji, ale nie spodziewała się, że taką w miarę wiarygodną historyjkę można skleić dosłownie w kilkanaście sekund. Do tej pory targały nią wątpliwości, czy wybrała do całej akcji odpowiedniego człowieka, ale to, co usłyszała, przekonało ją, że postawiła na dobrego konia. Mało tego, zrobiła to minimalnym nakładem kosztów. Podziwu nie krył też Ślizg i Bruno. Ten drugi zaklaskał nawet cicho i wzniosł w górę kciuk.

– No to jesteśmy umówieni, Wojtula! Baw się dobrze! Dam ci znak, jak się sprawa skończyła. To pa! – Klops się rozłączył. – A teraz zapraszam na przekąskę. Przecież nie będziemy robić nocy w muzeum z pustym brzuchem! A poza tym dobrze, jeśli zobaczy i potwierdzi naszą obecność kilka osób. Trzeba popracować nad alibi.

ROZDZIAŁ XIX

Gdzie jest Gustaff?

Maurycy zapalił światło i rozejrzał się po pokoju. Koło stołu leżały dwa krzeselka, a między nimi stał otwarty na oścież kufer. Wszystkie przedmioty znajdujące się w nim – papiery, mała tekturowa walizeczka Gustaffa z kilkoma osobistymi drobiazgami, książki, zabawki i stary koc w kwieciste wzory, leżały porozrzucane po podłodze. Nieco głębiej, tuż pod oknem balkonowym, pośród skrzących się w świetle lampy sufitowej odłamków szkła, leżał wielki jak pięść kamień. Całość posypana była okruchami paluszków i popcornem. A przynajmniej tym, czego nie zdążyły jeszcze zjeść psy. To oznaczało, że złodziej wszedł do mieszkania Niepsujów całkiem niedawno. Maurycy ominął bałagan i skierował się do garderoby Jadwigi, wielkiej trzydrzwiowej szafy. Przesunął środkową część i zajrzał do środka.

– Gustaff? – spytał, licząc, że za chwilę ujrzy pomarańczowo-czarny pysk podopiecznego.

Niestety w środku lisa nie było. Nie było go również w dwóch pozostałych segmentach, w wersalce, w łazience, kuchni, w żadnym z dwóch pawlaczy i pokoju Maurycego. Jadwiga zajrzała nawet do lodówki, pralki i kosza na brudną bieliznę. Nigdzie nie było lisa.

– Matko przenajświętsza – powiedziała, nie mogąc powstrzymać napływających do oczu łez – porwali go! Zabrali nam chłopaka! Zabrali.

Maurycy przytulił żonę.

– Na pewno gdzieś jest! Na pewno. Znajdziemy go! Spokojnie!

– Próbował jakoś złożyć wszystkie fakty do kupy, wymyślić na szybko jakiś plan działania, ale w głowie panował całkowity chaos. Pojawiły się pytania bez odpowiedzi, jakieś hipotezy, twarze osób, które mogły być sprawcami włamania i porwania lisa. Wszystko to kręciło się niczym w wielkim mikserze, ale nigdzie nie pojawiały się jakiegolwiek odpowiedzi.

– Ale kto? Przecież tylko my wiedzieliśmy o jego istnieniu! – Spojrzała w oczy Maurycemu.

Psy chyba wyczuły wyjątkowość sytuacji i nastrój właścicieli, bo otoczyły ludzi ciasnym kręgiem i wtuliły mokre pyski w ich ubrania. Jadwiga podrapała Nataszę za uchem.

– To nie wasza wina. Za dobre jesteście dla ludzi. Może trzeba was było wychowywać trochę ostrzej do obcych.

– Nie przesadzaj, kochanie. – Maurycy pocałował żonę w czoło. – Nie czas roztrząsać wychowanie stada. Trzeba pomyśleć, co teraz! Policji nie wezwiemy, bo co im powiemy? Że gadający lis w trampkach nam zniknął? Sąsiadka też nie pomoże za bardzo, bo zanim godzina minie, całe miasto będzie wiedzieć o Gustaffie. Gdyby chodziło o człowieka, to byłoby to dobre rozwiązanie, ale nie jeśli szuka się zwierza! I to dość nietypowego. Jej syn może i by się przydał, gdyby trzeba było rzucić porywaczem, ale najpierw trzeba go znaleźć! Dzieciaki są za daleko, żeby dziś do nas dojechały. A może tego Maharalskiego? Telefon mam!

– Daj spokój! – Kobieta pokręciła przecząco głową. – Najpierw warto by było wyjaśnić tę jego śmierć! Przecież musi być jakieś logiczne wytłumaczenie! Chyba, że mamy do czynienia z jakąś pokrętną wersją nocy żywych trupów!

Małżeństwo usiadło na wersalce. Maurycy chwycił pilota i wyłączył telewizor. Ostatnie, co wyświetlił ekran, to postać naczelnika Samuela Nortona przebijającego plakat Rachel Welch w filmie Skazani na Shawshank. Niepsuj odwrócił się do żony. Szukał słów, by ją pocieszyć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Wszystkie możliwe do wypowiedzenia w tym momencie słowa wydawały się spranymi frazesami. Jadwiga była pielęgniarką, nasłuchiwała się w życiu miliona podobnych kwestii, być może sama musiała je niejednokrotnie powtarzać względem pacjentów i ich rodzin.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Psy poderwały się z miejsc, drapiąc pazurami jasnobrązowe panele.

– Idź otwórz! – powiedziała cicho Jadwiga. Otarła oczy i policzki. Poprawiła włosy.

Maurycego nie było prawie dwie minuty. Do jej uszu dobiegały z przedpokoju jakieś szept, ale nie potrafiła rozpoznać ani jednego słowa. Już miała wstać i zobaczyć kto ich nawiedził w tym niefortunnym momencie, gdy do pokoju wszedł jej mąż, a za nim policjant w czarnym mundurze.

– Nadkomisarz Klawesyn Przepiórkowski! – Funkcjonariusz stanął na baczność i stuknął obcasami.

– Klawesyn? A to czasami nie jest...

– Tak, jest! Ojciec chciał matce dowcip zrobić, ale się okazało, że urzędnik nie miał poczucia humoru. I zamiast mieć jakieś polskie imię, jak Jan, Bogumił czy Brajan, ja się nazywam jak

podgatunek fortepianu. Ale nie to mnie tutaj przywiodło. – Policjant zdjął czapkę i zaczesał spoconą grzywkę na bok. – Niepokoję państwa w sprawie tej o tutaj. – Powiódł wzrokiem po rozrzuconych po podłodze szpargałach.

– Czyli pan wie? – Jadwiga przygryzła dolną wargę. Trochę bała się tego momentu, kiedy inni dowiedzą się o Gustaffie, ale z drugiej strony poczuła lekką ulgę. Taka partyzantka to już nie na jej wiek. Ciągłe ukrywanie lisa, okłamywanie wszystkich, wymyślanie kolejnych tłumaczeń, wymówek jest dobre dla młodszych, z lepszą pamięcią. Ona już się zaczęła lekko gubić. Za dużo tego. Przysłowie mówi, że jeśli kłamiesz, musisz wszystko pamiętać, jeśli mówisz prawdę, już nie. Ona miała coraz większe kłopoty z zapamiętywaniem faktów.

– Tak, szanowna pani! Pan burmistrz wszystko nam powiedział. – Nadkomisarz pokiwał głową. – Coś zginęło?

– Jak to burmistrz? Jak co zginęło? Przecież mówił pan, że wie! Gustaff zginął!

– Jaki Gustaff? – Klawesyn odwrócił się do Maurycego. – A to pies państwa czy kot może? Pan Klops nic nie wspominał. Tylko o jakiejś teczce. Że miasto zagrożone, że jakieś akta i Łowicz nam sprzedadzą. Monitorowaliśmy sprawę najlepiej, jak to było możliwe, ale przyznam, że kilka detali mogło nam umknąć. Niedobory kadrowe robią swoje. A może ten Gustaff to jakaś ksywka burmistrza? Nie? To nie wiem. Ale wróćmy do sprawy, która mnie do państwa przywiodła. Pan burmistrz razem z dwójką podejrzanych nam zniknął. Potem okazało się, że pojawił się trzeci złoczyńca, a drugi z naszych zaufanych ludzi, czyli pan Wąs, wylądował w szpitalu. Niby

sprawa wręcz podręcznikowa, ale coś się pogmatwało i niektóre rzeczy nam się przestały dodawać, stąd moja wizyta u państwa.

Jadwiga popatrzyła na wyrzucone z kufra przedmioty. Chciała zebrać papiery, ale Przepiórkowski ją powstrzymał.

– Proszę zostawić. Zaraz pojawi się moja ekipa i zabezpieczy ślady. Do momentu zakończenia operacji lepiej niczego nie dotykać. A i psy dobrze by było odseparować od miejsca przestępstwa. Czy nie będzie problemu gdzieś je przenieść?

– Może do drugiego pokoju? – zaproponował Maurycy.

– Doskonale! – ucieszył się Przepiórkowski. – A czy oceniła już pani może, czy czegoś nie brakuje?

– Chyba faktycznie zniknęła jedna teczka. Taka z herbem na okładce. Ale w środku raczej nic nadzwyczajnego nie było.

– Wie pani, to, co nam się wydaje mało wartościowe, może okazać się skarbem dla innych. A ten Gustaff to kto? – spytał policjant.

– A nie, nic nadzwyczajnego. Taka stara maskotka. Po prostu sentyment czujemy do niej. Taka jedna z niewielu pamiątek, jakie nam pozostały po babci.

Nadkomisarz pokiwał głową ze zrozumieniem. Nagle rozległ się dźwięk SMS-a. Klawesyn sięgnął do bocznej kieszeni i wyciągnął smartfon w brązowym etui.

– To do mnie! – uśmiechnął się i przeczytał treść wiadomości. – Chyba wiemy, gdzie teraz przebywają ptaszki!

– Czy możemy zabrać się z panem? – spytała Jadwiga. Podeszła do męża i szepnęła mu do ucha: – Może będzie tam też Gustaff. Nie możemy go zostawić samego.

– Ale zaraz tu będzie ekipa!

- Poradzą sobie. A gdzie jedziemy, panie generale?
- Nadkomisarzu! – sprostował Klawesyn – A jedziemy – spojrzał raz jeszcze na telefon – do muzeum!

ROZDZIAŁ XX

Wielkie rozczarowanie

Budowę budynku, w którym współcześnie znajduje się muzeum, rozpoczęto w 1689 roku. Wstępnie mieściło się tam seminarium duchowne, potem Szkoła Wydziałowa prowadzona przez księży pijarów, Szkoła Nauczycieli Elementarnych, więzienie dla polskich powstańców, a nawet cerkiew prawosławna. Muzeum pobudowano na wschodnim boku czworokątnego Starego Rynku. Po przeciwległej stronie znajdowała się katedra, na północy Urząd Miasta, o którym wspominałem wcześniej, a południe dopełniał rząd kamienic z punktami usługowymi i sklepami.

Ale powróćmy do naszej opowieści, bowiem na parking pod muzeum zajechał akurat samochód burmistrza Klopsa z trzema pasażerami na pokładzie. W pobliskim ogródku piwnym ktoś zaczął śpiewać *O sole miol!*, podchwyciła to młodzież siedząca na ławeczce pod katedrą. Nie minęło kilka sekund, a słowa piosenki wypływały z najbardziej nawet niemożliwych zakamarków rynku. Klops się uśmiechnął. Lubił swoje miasto, między innymi za tę artystyczną spontaniczność.

Przed drzwiami do muzeum obejrzał się jeszcze raz i posłał całusa wszystkim śpiewającym. Niestety, wchodząc do budynku, nie usłyszał ostatniej frazy – „*O sole mijo, gdy skręca*

cię” i wybrzmiały po nich kilku przekleństw zwiastujących bójkę.

– Dzień dobry! – przywitał nietypową wycieczkę Szczepan Kaprysiak, strażnik nocny, przewodnik oraz właściciel niewielkiego punktu krawieckiego, w którym, oprócz wykonywania typowych dla swojego zawodu zleceń, szył i naprawiał stroje dla kolegów i koleżanek z lokalnej grupy rekonstrukcyjnej. A tak w ogóle to Szczepan był lekko sfiksowanym miłośnikiem historii miasta i okolic. Wiedział o nich wszystko, a nawet coś więcej. Żadna cegła, żadna płyta chodnikowa nie miała dla niego tajemnic. Szyciem zajmował się zawodowo, zawód przewodnika był dopełnieniem jego hobby, a stróżem bywał, bo cierpiał na bezsenność i w domu się po prostu nudził. A poza tym nie miał nikogo, do kogo mógłby się nocą przytulić. Taki los zatwardziałego kawalera. Siedział więc w kanciapie, czasem wychodził na obchód po salach muzealnych i skansenie, i pisał artykuły historyczne dla miejscowego tygodnika.

– Dzień dobry! Mam nadzieję, że dyrektor dzwonił?

– A tak, tak! I mam służyć państwu w razie czego wszelką pomocą! – Szczepan podał dłoń wszystkim przybyłym. – Co chcielibyście zobaczyć?

– Prowadź do piwnicy. Do archiwum znaczy się – zaordynował burmistrz – tam chyba potrzeba najwięcej nakładów finansowych.

– Ano trzeba! – Patriotyczne serce Szczepana zabiło szybciej, kiedy usłyszał o możliwości dofinansowania swojego ukochanego muzeum. – Proszę za mną. – I skierował się do niewielkich drzwi znajdujących się po lewo, za recepcją i szatnią.

– Tylko proszę uważać na głowy i patrzeć pod nogi, schody w kilku miejscach ukruszone! – Zapalił światło i zaczął schodzić po wąskich i stromych stopniach. – No i jesteśmy! – zakrzyknął, kiedy wszyscy goście znaleźli się na dole.

Odpowiedział mu cichy odgłos echa odbijającego się od ceglanych ścian. Stróż sięgnął ręką w tonący w mroku wlot do kolejnego pomieszczenia. Chwilę szukał włącznika światła. Wreszcie namacał pokrętło i przekręcił je o trzy pozycje w prawo. Światło zapaliło się najpierw na początku sali, potem pośrodku, wreszcie na samym jej końcu. To, co zobaczyli goście, było i piękne, i straszne. Wielka, wysoka na jakieś trzy metry sala podparta była kilkunastoma grubymi kolumnami. I po bokach i na jej końcu znajdowały się wejścia do kolejnych korytarzy i sal. Wszędzie, na stołach, szafach, w pudłach leżały teczki z dokumentami, książki czy jakieś płóciennne opakowania zawierające zapewne eksponaty niemieszczące się w salach na górze. Na stołach i kamiennych podłogach stały kufry posagowe, drewniane i metalowe skrzynie wojskowe, kasetki, tekturowe rulony i owinięte folią palety z niemożliwą do zdefiniowania zawartością.

– Matko Boska! – wyrwało się Baronowej – Jak się w tym teraz rozpatrzyć!?

– To łatwe, droga pani! – Szczepan uśmiechnął się z wyższością. – Tu wszystko ma swoje miejsce i nic nie pozostawia się przypadkowi. Na przykład to pudło... – Wskazał pakunek leżący na wielkim blacie zbitym z grubych desek. – Literki „NH”, czyli Naturalis Histoia, dawna encyklopedia w języku łacińskim autorstwa Pliniusza Starszego. Praca jest podzielona na trzydzieści siedem ksiąg zebranych w dziesięciu to-

mach. Patrz Pliniusz – sala trzecia, stół centralny, lub Cesarstwo Rzymskie – sala piąta, korytarz A do D.

Jeremi westchnął ciężko i podrapał się po głowie.

– I pan to ogarnia?

– Przecież to proste! Na przykład tamta teczka... – Szczepan wskazał grubą aktówkę związaną brązowym sznurkiem.

– Dobra! Wierzę! Wierzę! A czy mógłby nam pan wskazać na przykład miejsce między literą F i H?

– F i H? – Stróż zmarszczył brwi. – Na pewno? Mam pokazać czy to pytanie z rodzaju tych retorycznych?

– Pokazać! Chcieliśmy wiedzieć, czy ewentualne fundusze trafią na kompetentnych pracowników, czy na zwykłych bałaganiarzy – zniecierpliwił się Jeremi.

– Nie ma sprawy, proszę za mną! Tylko...

– Prowadź pan! – Tym razem Baronowa syknęła zniecierpliwiona na przewodnika.

Jakieś pięć minut później, po przejściu trzech sal, czterech korytarzy i pokonaniu kilkudziesięciu stopni prowadzących dwa poziomy niżej i jeden wyżej, cała piątka stanęła na progu skrytej w mroku sali. Kaprysiaak odpiął długą latarkę od skórzanego paska spodni.

– Tu nie ma elektryki! – oznajmił i włączył wielki czerwony przycisk na boku podłużnej obudowy. Jasny snop światła wpadł do wnętrza sali. Pośrodku szerokiego i głębokiego na kilkanaście metrów pomieszczenia stał stół z wielką makietą miasta. Niewielkie budynki, uliczki, długi pasek rzeki rozwidlający się i oblewający niewielki zamek pokrywała gruba warstwa kurzu. Całość zachowała się jednak w doskonałym, jeśli nie idealnym stanie.

– Ki diabeł? – Jeremi podszedł do stołu i położył dłonie na gładkiej, drewnianej ramie otaczającej makietę. – To na pewno to miejsce?

Szczepan skierował snop światła na lewą, a potem na prawą stronę sali. W ceglane ściany wmurowane były dwie tablice. Na jednej wykuto gotykiem literę F, na drugiej H.

– Ale co to znaczy? To jest to miasto położone u stóp? Ale gdzie dokumenty? Gdzie akty notarialne? – Baronowa stanęła obok brata. Oddychała coraz ciężiej i szybciej. – To dla tych domków na drugi koniec świata przyjechałam. Do tej dziury zabitej deskami? To miało mnie wyciągnąć z finansowego doła? Przecież Irlandczycy przeciągną mnie pod stępką tego swojego kontenerowca, a Włosi utopiają w beczce ze ślodem!

– O wypraszam sobie... – zaprotestował Klops. – Nie takie znowu dziury.

– Czy pan słyszy, co mówię! – Klara Ślizg krzyczała coraz głośniejsze i głośniejsze.

Stróż Szczepan nie bardzo rozumiał, o co chodzi. To mieli być przecież przedstawiciele ministerstwa. Mieli przyznać fundusze. Tymczasem dwójka z nich coś bredziła o spadku, aktach notarialnych, o milionach, ale bynajmniej nie dla miasta czy muzeum. Trzeci wizytator stał z tyłu i również nie wyglądał na zadowolonego.

– Przepraszam, ale o co chodzi? – Kaprysiak podszedł do Baronowej. – Co się dzieje?

Baronowa, zaskoczona głosem stróża, który pojawił się niespodziewanie po jej prawicy, obróciła się tak niefortunnie, że straciła równowagę i klapła na podłogę. Upadając, pociągnęła za sobą jeszcze jedną osobę – brata Jeremiego. Jeremi złapał

Klopsa, a Klops Bruna, na którego plecach wylądował Klawesyn Przepiórkowski, czający się do tej pory na korytarzu wraz z dwójką funkcjonariuszy.

I tak osiem korpusów i głów, szesnaście kończyn dolnych i tyleż górnych, próbowało w świetle latarki krążącej pośród wijących się ciał, złapać równowagę i stanąć na nogi. A temu wszystkiemu przyglądało się małżeństwo Niepsujów, których do sali między F i H ściągnęła chęć odnalezienia gadającego lisa.

ROZDZIAŁ XXI

10.07

Drzwi wejściowe niewielkiego domku na obrzeżach miasta były lekko uchylone. Wokół panowała dziwna cisza. Wszędzie indziej – w mieście czy to w przydomowych ogródkach, czy na zieleniakach pod blokami – rozbrzmiewała istna owadzia kakofonia. Tymczasem tu nic. Nawet świerszcze tak aktywne w gorące wieczory jakby zaniemówiły. Ze szczeliny między drzwiami a framugą przebijał na zewnątrz pasek światła i kładł się długą, prostą kreską na ścieżce. Maurycy chwycił za klamkę i uchylił lekko drzwi. Zawiasy skrzypnęły cicho. Normalnie nawet by tego skrzypnięcia nie usłyszał, w tej sytuacji jednak dźwięk wybrzmiał prawie jak sekcja dęta w filharmonii. Mężczyzna skrzywił się. Sądził, że zaraz zjawi się jakiś domownik, zaniepokojony dziwnym hałasem. Nie pojawił się nikt. Maurycy odczekał jeszcze kilka sekund i uchylił drzwi na tyle, by wcisnąć się do środka. Wszedł do długiego przedpokoju. Szedł dalej. Po prawej stronie znajdowało się szerokie wejście do salonu, po prawej do kuchni. Oba pomieszczenia były puste. Maurycy podszedł do drzwi na końcu korytarza. Otworzył je delikatnie. Za szerokim, drewnianym progiem znajdowały się betonowe schody. Trzynaście stopni prowadzących do kolejnego korytarza. Maurycy dokładnie je policzył. Raz, dwa...

Gdzieś z głębi piwnicy dobiegło ciche stukanie i odgłosy rozmowy. Trzy, cztery... Mężczyzna zatrzymał się na chwilę i starał rozpoznać znaczenie tych słów. Nadal nic. Pięć... Jakiś cień pojawił się kilka metrów od Niepsuja. Cisza! Zachować ciszę! Żeby nie usłyszeli, nie zauważyli! Maurycy odwrócił się, ale lewa stopa zawadziła o stopień. Prawa tymczasem nie stanęła równo na schodku. Mężczyzna próbował łapać równowagę, złapać się czegoś, ale palce nie znalazły oparcia, tylko ześlizgnęły się po gładkiej ścianie. Upadł na plecy. Po ciele rozeszła się fala bólu. Korytarz zawirował i zniknął w tumanie białej mgły. Świadomość uciekła niczym smużka dymu wciągnięta w otwór kratki wentylacyjnej.

* * *

– Panie Niepsuj, niech się pan obudzi! – Jakaś niewyraźna postać stała nad Maurycym i szarpała go za koszulkę. – Panie Niepsuj, pora wracać!

– Co? Jak? – Mgła zaczęła rzednąć, obraz nabierał wyrazistości. – Gdzie ja jestem? – Maurycy rozejrzał się wokoło. Siedział na krześle w jakimś pomieszczeniu bez okien. Na ścianach wisiało kilka półek, na nich puszki, pudełka, butelki. Na wprost wielkie harmonijkowe drzwi. Garaż. Przed nim Michał Ksawery. Chyba. Z boku jeszcze jedna osoba. Listonosz? Jakim cudem? Próbował wstać. Coś trzymało tułów, nie pozwalało ruszyć rąk. Co jest?

– Proszę się nie szarpać panie Maurycy! Tylko się pan spoci!

– Maharalski uśmiechnął się szeroko.

– Gdzie jestem?

– Jest pan u mnie. Wprosił się pan na imprezę ostatekową

i pyta, gdzie jest? Bez żartów panie Niepsuj. To raczej ja powinienem spytać, jak mnie pan znalazł?

Maurycy zamknął oczy. W głowie zaczęły pojawiać się pojedyncze obrazy. Potem całe ujęcia wydarzeń sprzed lat i tych z ostatnich dni. Piwnica, stos ciał, komisariat policji i twarz antykwariusza. „Posłuchaj, panie Ślizg, jeśli powiesz, gdzie zaniósłeś Gustaffa, znaczy lisa, nie wniosę oskarżenia o włamanie i kradzież. Zastanów się pan dobrze, bo na głowie masz już i tak wystarczająco dużo kłopotów!”. Domek z ogródkiem. Czemu te świerszcze nie świerszczą. Drzwi. Trzynaście schodków. Cień. Splątane nogi.

– Jeremi się wygadał.

– Cienias. Ale on zawsze taki był. Mocny tylko w głębie.

– Gdzie jest Gustaff? – Maurycy szarpnął się, próbując zerwać brązowy sznurek jutowy, którym był przywiązany do krzesła.

– Pan się nie szarpie. Mikuś jest mistrzem supłów. – Maharalski spojrzał na służącego. – A Gustaff jest tutaj. – Wskazał palcem przestrzeń za plecami Niepsuja.

Maurycy próbował odchylić głowę jak najdalej, ale zdołał zobaczyć tylko skrawek jakiegoś stołu i stopy leżącego na nim lisa.

– Mikuś, przekręć pana! – zakomenderował Michał Ksawery.

– Co mu zrobiłeś, bandyto!?! – Maurycy wreszcie zobaczył całego Gustaffa. Lis był przywiązany szerokimi pasami do białego, metalowego łóżka szpitalnego. Obok, na niewielkim stoliku, leżało kilka noży, obcęg, śrubokręti i kombinerki z czarno-czerwonym izolatorem pokrywającym długie ręczki. Na dolnej półce, na niewielkiej kupce pomarańczowej włóczki i białych fragmentów cienkiej gąbki, coś dziwnego, kształ-

tem i wielkością przypominającego przepiórcze jajko, pulso-
wało słabym, niebieskim światłem.

– Oj, zaraz tam bandyto – zachnął się Maharalski. – Po prostu biorę to, co do mnie należy!

– Jak należy? Dlaczego?

– I w tym momencie, zgodnie z najlepszymi zasadami sztuki filmowej, ja, czyli ten zły, powinienem opowiedzieć, czemu wstąpiłem na ścieżkę przestępstwa i co mną powodowało, że zleciłem porwanie Gustaffa. – Maharalski dźgnął Maurycego palcem wskazującym w pierś. – Jeśli myślisz, że tego nie zrobię, to... – mężczyzna zawiesił głos – jesteś w błędzie! I to nie dlatego, że jestem miłośnikiem dziesiątej muzy. Po prostu nie lubię niedopowiedzeń i podnieca mnie fakt, że ofiara, wiedząc o pewnych faktach, nic z nimi nie może zrobić. Poza tym mamy trochę czasu. Do świtu zostało kilka godzin, a chyba żadnej odsiecz się nie spodziewamy. Jesteś sam mi-siu-pysiu! Nawet Jadwigi nie zabrałeś, bo taki z ciebie samotny wilk, dżentelmen i bohater. Zapewne kobiecina siedzi teraz w domu i zajada stres ciasteczkami!

– Ty chyba masz coś z głową! – Maurycy spojrzał na Michała Ksawerego spod ściągniętych brwi.

– Wiem! I dobrze mi z tym, panie bracie! Ale przejdźmy do rzeczy. – Mężczyzna spoważniał nagle. – Dobra, zacznijmy opowieść, bo musimy się przed świtem jeszcze spakować. Jedziemy dalej, zanim ktoś się jednak nami zainteresuje. A do ukrycia mamy trochę więcej, niż ci się wydaje panie ładny. Jak to mówię, lepiej dmuchać na zimne. – Maharalski popatrzył na związanego niczym baleron Maurycego. – Znasz może historię golema?

– Piąte przez dziesiąte...

– Czyli muszę zrobić mały wstęp. Otóż golem to istota utworzona z gliny na kształt człowieka, ale pozbawiona duszy rozumiejącej, a zatem również zdolności mowy. Golema ożywiano za pomocą magicznych rytuałów i modłów oraz wkładając mu do ust zapisane na pergaminie słowo „emet”, czyli po hebrajsku „prawda”. Żeby odebrać życie takiej istocie, wystarczyło wymazać pierwszą literę. Otrzymywało się wtedy słowo „met”, czyli „śmierć”. Na razie wszystko jasne? – Maharalski spojrzał na zegarek. – Późno się jakoś zrobiło. Nie uważa pan? Ale wracając. Mam teraz pytanie na spostrzegawczość i logiczne myślenie. Czy ten zestaw: ciało, czyli obudowa i specjalna formuła, z niczym się panu nie kojarzą?

Maurycy się zamyślił. Do tej pory słuchał Michała Ksawerego półuchem, próbując ułożyć w głowie jakiś plan ucieczki i ratunku Gustaffa. Wszystko mu się fajnie dodawało, każdy wariant kończył się spektakularnym sukcesem, brakowało mu tylko znajomości sztuk walki, uzbrojenia, łącznie z czołgiem i myśliwcem przechwytyującym, daru magii, ale nade wszystko umiejętności zerwania z siebie zwojów jutowego sznurka.

– Nie wiem! – odpowiedział krótko.

– Coraz bardziej mnie pan zawodzi, panie Maurycy! Odpowiedź jest prosta! Komputer! Gliniany korpus to prosty mechanizm, słowo „emet” to kod, czyli program. Człowiek z błota mógł wykonywać proste rozkazy, nie myślał i nie mówił, ale co by się stało, gdyby rozpisać mu nieco bardziej tę formułę? A co, gdyby jego działania nie ograniczało jedno słowo? I co wreszcie, gdyby taki zapis wprowadzić do mechanizmu bardziej złożonego niż gliniany korpus?

Maurycy spojrział na stół, na którym leżało ciało Gustaffa. Czyżby?

– Tak drogi panie! Widzę, że zaczyna łączyć pan kropki. Gustaff to golem! To prototyp! Wstępna, choć bardzo rozbudowana wersja! Głównie za sprawą zastosowanego w nim kodu. To ciało ma pewne ograniczenia, ale i je udało się przełamać. W kolejnym modelu! A konkretnie w ludzkim ciele. – Maharalski uśmiechnął się tajemniczo.

– Pan? – Maurycego lekko przytknęło.

– Tak, szanowna publiczności! – Mężczyzna rozłożył ręce i okręcił się kilka razy. – W ten sposób stałem się efektem własnego eksperymentu.

– Nie rozumiem...

– Zaraz wszystko stanie się jasne, drogi panie. Ja nie nazywam się Michał Ksawery Maharalski, ja nazywam się Jehuda Low ben Becalel Czwarty i jestem bezpośrednim potomkiem wielkiego MaHaRaLa. I to mnie okradł pana dziadek. Zabrał zwoje i lisa. Odebrał to, co mogło mi dać życie wieczne!

– Nie rozumiem...

– Proszę sobie wygooglować to nazwisko. Wszystko pan wtedy zrozumie. Zapamiętaj, chłopie, Becalel.

– Zapisz mi to długopisem na rękę. Inaczej zapomnę! I lepiej mnie puść.

– To za chwilę. – Maharalski skinął na współnika. – Idź, mój drogi, i zacznij nas pakować. Czasu coraz mniej! Pan też nie długo będzie mógł opuścić mój dom. Nie mam zamiaru pana skrzywdzić... – dodał, patrząc na Maurycego.

– A Gustaff? Jego już skrzywdziłeś!

– To tylko lalka!

- To nie jest tylko lalka! Dla mnie już nie!
- Widzi pan – Maharalski powrócił do przerwane go wątku – im bardziej złożony mechanizm i im bardziej złożona formuła, potrzebny jest coraz mocniejszy procesor i tym większe zapotrzebowanie na energię. To dają kryształy, a tych coraz mniej na świecie. Mój już nieco się wyczerpuje. Przekładając to na język współczesnej technologii, zostało mu już niewiele cykli.
- Jak w baterii? – Maurycy wreszcie zaczął kojarzyć złożoność porównań Michała Ksawerego.
- Jak w baterii, drogi panie. Niestety ta w lisie za mocno się z nim zrosła. Znaczący, nie będzie pasować do innego modelu. Muszę szukać dziewiczego kryształu i zrobić to, zanim czas mojego się skończy. Wojna porozrzuciła je po świecie, wiele zniszczyła. Szukanie stało się trudniejsze. Jeden z nich miał Mikołaj, ale gdzieś go schował. Nie zdradził gdzie. Myślałem, że informacja zawarta w liście coś panu powie, będzie istotną wskazówką, by go znaleźć. Niestety, jak widzę, nic z tych rzeczy... A kryształ potrzebny jest jeszcze jednej osobie. – Michał Ksawery popatrzył w kierunku schodów, po których przed chwilą wspiał się jego podopieczny.
- No bez jaj! – Maurycy zrobił wielkie oczy.
- Co zrobić! – westchnął Maharalski. – I nawet nie ma pan pojęcia, jak naprawdę nazywa się mój współnik! Ale nie zdradzę tego panu! Niech się pan domysli. Niestety jego kryształ jest mniejszy i daje mniejsze możliwości. Chłopina ma zablokowaną sporą część pamięci, inteligencji i funkcji motorycznych. Tak więc i on potrzebuje wymiany procesora i baterii. Sądziłem, że z pana pomocą rozwiążę swój problem i pro-

blem Mikusia, ale jak widzę nic z tych rzeczy. Znaczy trzeba zacząć poszukiwania na nowo. Trudno...

Nagle w głowie Maurycego rozbłysło ostre światło. Mężczyzna przymknął odruchowo powieki. Światło gasło, a w jego miejscu pojawił się ciąg obrazów. I jaśniejąca na ich tle cyfra. 10.07. To chyba wynik uderzenia w głowę na schodach. List od Mikołaja. Cyfra. Zmowu. Gdzieś już ją widział. Zegarek tak, ale to nie to. Numer na drzwiach. Nie. Data urodzin. Nie. Muzeum. Sala między Fi H. Makieta. Kupa splątanych ciał. Światło latarki padające na stół. Cofnij. Cofnij o kilka sekund! Jeremi i Klara stojący przy planie miasta. Drewniana rama i przytłumione odbłyski jakichś znanych mu znaków ciągnących się w poziomie i pionie. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Teraz złote zygzaki przebijające przez warstwę kurzu nabrały znaczenia. Ale jakiego? Jeremi przeciąga ze złością dłońią po drewnie. 05, 06, 10... Pion. 01, 05, 07... Poziom. No tak! Już wiedział!

– Czemu się pan tak uśmiecha, panie Maurycy? – Maharalski przekrzywił głowę i spojrzał w oczy Niepsujowi. – Pan wie, gdzie jest kryształ! Pan to wie! To co, zrobimy mały deal?

ROZDZIAŁ XXII

Znowu w domu

Maurycy położył ciało Gustaffa na wersalce. Tuż obok stanęła Jadwiga. Skryła twarz w dłoniach. Jako pielęgniarka przyzwyczajona była do podobnych widoków, ale tu chodziło o kogoś bliskiego, o członka rodziny, nie o nieznanego pacjenta, o którego martwiło się inne ludzkie stado. Tak, mogła już tak powiedzieć. Lis zrósł się z jej rodziną, stał się jej pełnoprawnym członkiem. I nie ważne, że fizycznie różnił się od innych, że pochodził z innej epoki, że powstał w wyniku jakiegoś czary-mary. Był jak jeszcze jeden syn.

Maurycy wyjął z kieszonki pulsujący coraz rzadziej i coraz słabiej kryształ.

– Trzeba to – wskazał świecące jajko – włożyć tu! – podciągnął koszulkę lisa, odsłaniając wielką dziurę ziejącą w jego piersi.

– Matko boska, co oni mu zrobili!

– Musimy mu pomóc. Ty musisz mu pomóc! Przecież potrafisz! Jesteś pielęgniarką!

– Ale nigdy nie robiłam czegoś takiego komuś z rodziny!

– Co robić? Co robić?

– Spróbuj ty, ja nie mogę! – Kobieta wyciągnęła dłonie przed siebie. Drżały.

Maurycy chwycił kryształ i najdelikatniej, jak potrafił, włożył

go do otworu. Następnie przykrył dziurę strzępami włóczki.

– Przynieś trochę z pokoju. Tej jest za mało!

– Gdzie ją masz?

– Pod ławą!

– Dobra, chłopie. Teraz twoja kolej! Żyj! – Mężczyzna odsunął się od lisa, jakby chciał dać mu przestrzeń do złapania oddechu.

Jadwiga doniosła woreczek z pomarańczową i białą włóczką. Białą tak na wszelki wypadek.

– I co? – spytała, kiedy mąż dokładał kolejny strzęp do otworu.

– Nic! Pomóż nam, chłopie! – Maurycy złapał zwierzaka za ramiona i potrząsnął lekko. – Nie odchodź od nas! Nie teraz i nie tak! – Mężczyzna spojrzał na żonę. Płakała. A przecież to on wzruszał się zawsze podczas oglądania filmów czy bardziej cikliwych reklam. Jadwiga była tą twardą. Tą, która obśmiewała płaczliwe reakcje męża i potem jego głupie tłumaczenie o paprochu w oku. Tym razem jednak oboje nie potrafili powstrzymać łez.

– Wróć do nas, maluszk. Nie zostawiaj nas samych... – Ciało Gustaffa leżało na wersalce bez ruchu. Szklane oczy wpatrywały się w sufit. Maurycy znowu usiadł przy zwierzaku. Złapał w swoją dłoń czarną łapę i przycisnął do policzka. Ciężka kropla łzy wypłynęła z kącika oka i spadła na wierzch lisiej ręki.

– Nie będę już narzekał na ciebie. Nie będę marudził. – Maurycy zamrugnął powiekami i podniósł ciało lisa. Przytulił go mocno do piersi. Obok na wersalce usiadła Jadwiga. Ona również objęła Gustaffa.

Koło nich przycupnęły psy. Natasza wpatrywała się z wywalonym na wierzch jęzorem w ściskających nieruchome lisie

ciało ludzi, Borys położył wielki pysk na kolanie pani, Fiedka zaczęła cicho skamleć. Nawet koty patrzyły na całą sytuację z szafy bardzo nieobojętnym wzrokiem.

– Tu jest twój dom, kochanie! Już nie musisz szukać...

– Dostaniesz, co chcesz, tylko powiedz coś. Cokolwiek Daj nam jakiś znak. Przecież jesteś twardy. Jesteś Niepsuj. Gustaff Niepsuj...

– Jeśli tak – stłumiony głos dobiegł z okolic klatki piersiowej Maurycego – to ja poproszę golonkę słodko-kwaśną z ryżem i podwójną surówką. I przestań mnie tak ścisnąć, chłopie, oddychać nie mogę!

Epilog

Tak właśnie pojawił się i pozostał na stałe w domu Jadwigi i Maurycego Niepsujów lis Gustaff. On znalazł nowy dom, oni nowego członka rodziny. Gdyby na początku tej historii spytać i jego, i ich, czy tak wyobrażają sobie jej zakończenie, zapewne obśmialiby taką myśl. No bo jak? Że ludzie i gadający lis pod jednym dachem? Do tego trzy psy i dwa koty? Weź przestań! A co stało się z pozostałymi jej bohaterami?

Jeremi Ślizg zamknął interes i opuścił miasto. Razem z Brunem. Ponoć prowadzą kram z pamiątkami w Kairze. Maurycy zgodnie z obietnicą nie wniósł oskarżenia o włamanie i kradzież.

Baronowa Klara Ślizg również opuściła miasto. Przed wyjazdem kupiła zdrapkę w punkcie lotto przy galerii handlowej i wygrała sporą kwotę, dzięki której udało się jej spłacić część zadłużenia. Resztę rozłożyła na dogodne raty.

Burmistrz Klops i Tomasz Wąs lokalnymi bohaterami nie zostali. Sprawę wyciszono, choć oni jeszcze długo podczas spotkań przy grillu wspominali przygodę swojego życia.

Nadkomisarz Klawesyn Przepiórkowski dostał awans i został przeniesiony do Warszawy do komendy stołecznej, gdzie głównie siedział za biurkiem i rozwiązywał krzyżówki panora-

miczne. Z rozrzewnieniem wspominał czasy patroli pieszych po ulicach Łowicza.

Michał Ksawery Maharalski i Mikuś wyjechali z miasta przed świtem. Zjawiali się potem wielokrotnie w Łowiczu, szczególnie w okolicach muzeum, ale to już inna historia.

I TO JUŻ KONIEC...

A MOŻE TO DOPIERO POCZĄTEK?

Od autora

Gustaff przyśnił mi się pod koniec 2022 roku. Tuż po tym jak straciłem wzrok w prawym oku, a nieco wcześniej całkiem spory procent w oku lewym. Nagle stałem się kompletnie niepotrzebnym zbitkiem kośćca, mięśni i tłuszczu (tego ostatniego przede wszystkim). Trochę trwało zanim oswoiłem swoją niepełnosprawność i nauczyłem się z nią żyć. Trochę trwało zanim znowu usiadłem przed komputerem i zacząłem pisać i rysować. Akurat wtedy pojawił się lis i jego historia. Gustaff nie zrobił furory w internecie, ale dla mnie był czymś więcej niż kupką drutu, gąbki i włóczki czesankowej. Po miesiącach szukania jakiegoś pomysłu na siebie znalazłem go w tym upierdliwym i pyskатыm rudzielcu.

Dziś Gustaff stał się częścią rodziny, zabieram go na targi książki, mecze siatkówki, wycieczki plenerowe i imprezy rodzinne. Wszystko to możecie znaleźć na stronie JestemGustaff.pl i na profilu na facebooku i instagramie. A że niektórzy być może popukają się w głowę - cóż, trudno. Ja się bawię dobrze! Zapraszam do czytania (pobrać już można mały zbiór opowiadań o Gustaffie) i oglądanie!

*Grzegorz Raczek
vel Maurycy Niepsuj*

Koniec?